

PISMO RUCHU TWÓRCZEGO OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH

FILANTROP

n a s z y c h c z a s ó w

Nr (318) 5 • Poznań • maj 2021 • Nr indeksu 327948 • ISSN 1231-8876



Agnieszka Soporowska,
uczestniczka
Warsztatu
Terapii Zajęciowej
w Swarzędzu.
Więcej w artykule
„Jej taniec
to dla nas radość”.
Str. 14 i 15

FINANSUJĄ



Państwowy Fundusz
Rehabilitacji Osób
Niepełnosprawnych



POWIAT
POZNAŃSKI

PATRONUJĄ



W NUMERZE:

Szansa dla niewidomych
– zawód i praca str. 5

W środku trzeciej fali
pandemii str. 6 i 7

Nieemożliwe nie istnieje!
str. 9

Nasz sceniczny diament
str. 12 i 13

Pszczółom na ratunek
str. 22

Dzieci się gubią str. 26

Trafiły do rodzinnych
domów str. 34

Obcy wśród ludzi
str. 35, 36 i 37

Gryzoty wuja Teocha
str. 45

Spisz się!

1 kwietnia rozpoczął się Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań. Zgodnie z nowelizacją ustawy o Narodowym Spisie Powszechnym zakończy się 30 września br. Udział w spisie jest obowiązkowy dla każdego, kto zamieszkuje w Polsce lub powrócił do kraju z zagranicy, także dla osób z niepełnosprawnościami. Spis przeprowadzany jest raz na dziesięć lat.

W jaki sposób spełnić ten obywatelski obowiązek? Podstawową, a jednocześnie najprostszą formą dokonania tego obowiązku, jest tak zwany samospis internetowy. Na czym polega? Wystarczy wejść na stronę <https://spis.gov.pl>, za pośrednictwem której możemy przejść do aplikacji spisowej. Aplikacja znajdująca się pod adresem <https://nsp2021.spis.gov.pl> poprosi o wybranie metody logowania – zalogować do niej można się przez profil zaufany i bankowość elektroniczną albo poprzez wprowadzenie numeru PESEL i nazwiska rodowego matki. Zdecydowanie prostsza jest pierwsza forma logowania, o ile użytkownik posiada profil zaufany. Po zalogowaniu się przy pomocy profilu zaufanego (np. przez stronę banku, w którym mamy konto) możemy od razu przejść do listy pytań w spisie. Na liście pytań znajduje się m.in. pytanie o płeć, stan cywilny, wykształcenie, aktywność zawodową, posiadanie orzeczenia o niepełnosprawności czy powierzchnię mieszkania. Osoby, które zostaną dodane na formularzu (np. przez członka rodziny wspólnie zamieszkującego) i prawidłowo spisane, są zwolnione z obowiązku samospisu. Wypełnienie formularza spisowego zajmuje około 15 minut. Po zakończeniu wypełniania wszystkich pól należy wniosek zatwierdzić.

W tym roku, z powodu epidemii, rachmistrzowie nie zapukają do drzwi naszych mieszkań, jednak w szczególnie uzasadnionych przypadkach – kiedy osoba objęta spisem nie może dopełnić obowiązku samospisu przez Internet – dane zbierane są przy pomocy wywiadu telefonicznego lub bezpośredniego przeprowadzanego przez rachmistrza spisowego. *Oprac. KK.*

Pomoc w zwalczaniu skutków epidemii

Przypominamy, że do 2 listopada tego roku mogą być składane wnioski o wsparcie w ramach programu PFRON – „Pomoc osobom niepełnosprawnym poszkodowanym w wyniku żywiołu lub sytuacji kryzysowych wywołanych chorobami zakaźnymi”. Wnioski składać mogą samorządy powiatowe lub gminne w trybie ciągłym.

PFRON wznowił realizację modułu IV wyżej wymienionego programu. Samorządy prowadzące dodatkowe wsparcie dla osób niepełnosprawnych lub ich otoczenia mogą otrzymać pomoc finansową na działania własne na rzecz osób niepełnosprawnych w celu łagodzenia skutków epidemii, jak również na działania realizowane przez organizacje pozarządowe.

Wsparcie finansowe – jak informuje Fundusz na swojej

stronie internetowej – może dotyczyć następujących form działalności: świadczenia pomocy psychologicznej dla osób niepełnosprawnych lub rodzin osób z niepełnosprawnościami, transportu, dostarczania osobom niepełnosprawnym leków, produktów żywnościowych oraz innych artykułów pierwszej potrzeby, organizacji opieki domowej, zakupu środków ochrony (np. płynów do dezynfekcji, maseczek, odzieży ochronnej), zakupu sprzętu i wyposażenia podnoszącego poziom bezpieczeństwa sanitarnego w placówkach (np. utworzenie odrębnych stołówek), zakupu wyposażenia do placówek (pościeli, ubrań itp.), zakupu paczek żywnościowych dla osób niepełnosprawnych, utrzymania mieszkania chronionego przeznaczonego na „przejściowe” w okresie epidemii dla osób niepełnosprawnych, ich rodzin lub opieku-

nów w związku z nałożoną kwarantanną oraz organizowania aktywności w celu poprawy kondycji osób niepełnosprawnych.

Jak widać, zakres form działalności jest dość szeroki i w pełni ukierunkowany na poprawę bezpieczeństwa i ochronę zdrowia osób z niepełnosprawnościami oraz ich otoczenia w czasie epidemii. Samorządy mogą samodzielnie wybrać taki rodzaj pomocy, który jest niezbędny na danym terenie i wynika ze specyficznych potrzeb niepełnosprawnych mieszkańców lub ich otoczenia. W Oddziale Wielkopolskim PFRON rozpatrywane są wnioski samorządów z terenu województwa wielkopolskiego. Szczegółowych informacji na temat programu oraz warunków przystąpienia udziela Patrycja Królak: tel. 505 449 767, e-mail: pkrolak@pfron.org.pl

Oprac. KK.

PFRON pomógł mi zdobyć wykształcenie

W 1991 roku powstał Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Wraz z nim stopniowo zaczęły się pojawiać programy i projekty, dzięki którym osoby z różnymi niepełnosprawnościami mogły stawiać się bardziej samodzielnie i niezależnie. Uruchomiono również pomoc w zakresie zdobywania wykształcenia – między innymi program „Student”. Jako osoba z niepełnosprawnością korzystałem ze wsparcia PFRON i mogłem w ten sposób realizować swoje cele związane z podnoszeniem kompetencji.

Bez wsparcia PFRON nie mogłbym zdobywać wiedzy. W ramach programu „Pegaz”, który niegdyś był realizowany, otrzymałem dofinansowanie

do zakupu komputera i drukarki. Na tym właśnie sprzęcie pisałem prace dyplomowe – licencjacką i magisterską. Służy mi do dnia dzisiejszego. Zachęcam osoby z niepełnosprawnościami, aby nie zniechęcały się koniecznością gromadzenia dokumentów i czyniły starania o tego rodzaju pomoc, bo warto. Obecnie samorządy, między innymi Powiatowe Centra Pomocy Rodzinie, realizują program PFRON pod nazwą „Aktywny Samorząd”, w ramach którego można uzyskać dofinansowanie do zakupu sprzętu rehabilitacyjnego, oprzyrządowania do posiadanego samochodu, czy sprzętu służącego likwidacji barier w komunikowaniu się i technicznych. W ubiegłym roku otrzymałem dofinansowanie do zakupu roweru sta-

cjonarnego służącego mojej rehabilitacji.

Przez ostatnie lata dużo zrobiono dla środowiska osób z niepełnosprawnościami. Poprawiła się jakość ich życia. Wiele osób wciąż ma jednak trudności ze znalezieniem i utrzymaniem zatrudnienia, bo nadal występują bariery w zatrudnianiu osób niepełnosprawnych. W latach 80 i wcześniej sporo osób z niepełnosprawnościami pracowało w spółdzielniach inwalidów oraz w zakładach pracy chronionej. Obecnie rehabilitacja zawodowa realizowana jest w zakładach aktywności zawodowej, których jest o wiele mniej niż było kiedyś spółdzielni inwalidów i zakładów pracy chronionej.

KRYSTIAN CHOLEWA

„Więc jeśli umrę, cóż po mnie zostanie?”



Karolina
Kasprzak
POZNAŃ

Dał się poznać jako człowiek, przed którym problematyka osób z niepełnosprawnościami nie ma tajemnic. Był nestorem katechizacji osób z niepełnosprawnością intelektualną. Opracował język religijny dostosowany do potrzeb osób z tą niepełnosprawnością, bazujący na doświadczeniach związanych z ich codziennym życiem. Zabiegał o respektowanie należnych im praw, zwłaszcza o to, aby mogły uczestniczyć w życiu chrześcijańskim na równi z innymi. Swoją postawą pokazywał, że dawanie miłości ludziom ma szczególną wartość, kiedy ci ludzie wymagają troski i opieki.

Pedagog i katecheta specjalny to ktoś „specjalny”, kto prócz przygotowania formalnego i merytorycznego ma jeszcze to „coś” – wrażliwość, empatię oraz umiejętność wnikliwego rozumienia osób z niepełnosprawnościami. Taki był właśnie Krzysztof Maria Lausch określany mianem „Poznańczyka”, ceniony w środowisku osób z niepełnosprawnościami nie tylko w stolicy Wielkopolski, lecz także w innych zakątkach kraju i zagranicą. Dlaczego „Poznańczyk”, a nie poznaniak? „Poznańczyk” to ktoś, kto połączony jest z Poznaniem nie jako miejscem zamieszkania, a z miejscem związanym z pewnymi wartościami, z którymi identyfikowane jest samo miasto. Taka osoba musi kochać Poznań bezwzględnie, ale potrafić również dostrzec jego wady i niedoskonałości (...). Poznańczykiem staje się człowiek z wyboru. Jest to zaszczyt, a nie podrzędna informacja zawarta w dowodzie osobistym – mówił przed laty Krzysztof M. Lausch w wywiadzie, jakiego udzielił swoim uczniom. Zmarł w kwietniu 2014 roku, po długiej i ciężkiej chorobie.

Nic zatem dziwnego, że tak

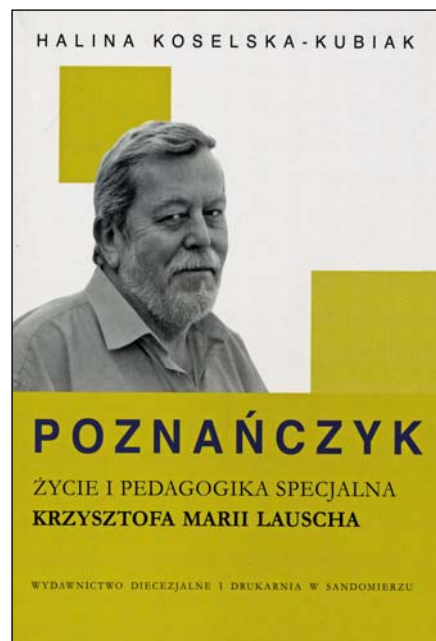
została zatytułowana książka o Nim, napisana przez Jego współpracowniczkę Halinę Koselską-Kubiak, pedagożkę i doświadczoną katechetkę specjalną. Publikacja ukazała się w tym roku nakładem Wydawnictwa Diecezjalnego i Drukarni w Sandomierzu. Przybliży czytelnikom, kim był Krzysztof M. Lausch, ważne momenty z Jego życia i działalności na rzecz osób z głębszą niepełnosprawnością intelektualną, a także zawiera wspomnienia ludzi, którzy Krzysztofa M. Lauscha znali i cenili. W walce o pełnoprawne traktowanie, poszanowanie godności i respektowanie praw osób z niepełnosprawnością intelektualną cechowały Go upór i determinacja. Nie miał w tym sobie równych. Kiedy z kimś dyskutował i widać było, że rozmówca ma odmienny od Niego pogląd na daną sprawę, nigdy nie dawał mu odczuć, że jest kimś gorszym, słabiej zorientowanym. Traktował każdego z szacunkiem, nigdy się nie wywyższał.

Na okładce książki widnieje Jego twarz – pogodna i życzliwa. Wzrok ma serdeczny, skupiony na osobie, która na Niego patrzy. Lausch to charyzmatyczna osobowość, człowiek pełen zapału i prawdziwej społecznikowskiej pasji. Mimo licznych obowiązków rodzinnych oraz zawodowych zawsze starał się znajdować chwilę czasu dla każdego, kto potrzebował rozmowy. Wzbudzał ogromną sympatię, a że w wielu środowiskach dał się poznać jako wykwalifikowany i kompetentny pedagog specjalny, często zapraszano go do czynnego udziału w konferencjach, sympozjach, wykładach, szkoleniach i warsztatach.

Po raz pierwszy spotkałem Go na jednym z takich szkoleń. Edukował nas – wtedy jeszcze młodych i niedoświadczonych – jak postępować wobec osób z niepełnosprawnością intelektualną, jak z nimi rozmawiać, aby rozumiały, co się do nich mówi. Była to niezwykle pouczająca lekcja, ilustrowana przykładami z codziennej pracy. Wyrzucił wówczas dezaprobatę

dla określenia „sprawny inaczej” argumentując to zdaniem, że „złodziej też kupuje inaczej”. Skłaniał do refleksji, przekonując, że osoby z niepełnosprawnościami nie chcą być traktowane w wyjątkowy sposób, lecz na równi z innymi. Że mają pełne prawo uczestnictwa we wszystkich tych sprawach życiowych, w których my uczestniczymy. Drugie spotkanie nastąpiło parę lat później – już w trakcie mojej współpracy z „Filantropem”, gdy przeprowadzałam z Nim wywiad. Przygotowując się do tej rozmowy zastanawiałam się, ile czasu będzie w stanie mi poświęcić. Rozmówców miałyam różnych – począwszy od tych najbardziej „wygadanych”, którym niekiedy trzeba było przerwać, a skończywszy na tych, którzy mogli poświęcić na wywiad zaledwie kilka minut. Wywiad z Krzysztofem M. Lauschem był jednym z ważniejszych dla mnie wywiadów i zawsze będę Mu wdzięczna za osobiste spotkanie oraz za to, czego dzięki tej rozmowie się nauczyłam o pracy z dziećmi i młodzieżą z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu głębszym. Skrajności nie było – ani gadulstwa, ani zdawkowych odpowiedzi. Dowiedziałam się tyle, ile potrzebowałam się dowiedzieć, aby przygotować materiał i zaciekawić nim czytelnika. Ujęło mnie, z jaką serdecznością mówił o uczniach Zespołu Szkół Specjalnych nr 103 im. Marii Grzegorzewskiej, którym kierował: „nasze dzieci”. Był oddany bez reszty dzieciom i dorosłym z niepełnosprawnością intelektualną. Potrafił zaciekawić tematem, sprawiał, że chciało Go się słuchać, bo Jego wypowiedziom towarzyszyła wewnętrzna energia do działania i wielka pasja. Takich rozmówców nie spotka się często. Dlatego redakcja naszego miesięcznika z entuzjazmem przyjęła wiadomość mailową od autorki „Poznańczyka” z informacją o publikacji, a także przesyłkę z książką.

Każdy człowiek potrzebuje autorytetu, inspiracji, kogoś, na kim będzie mógł się wzorować tak w pracy zawodowej, jak i w



życiu prywatnym. Takim właśnie autorytetem może być dla wielu osób – zarówno młodych jak i starszych, Krzysztof M. Lausch. Poszczególne rozdziały książki dają czytelnikowi możliwość głębszego poznania codziennego życia i działalności Lauscha. Był nie tylko znakomitym pedagogiem specjalnym, ale też poetą. W jednym z wierszy napisał: „Więc jeśli umrę, cóż po mnie zostanie?”. Chyba nikt, kto Go znał, nie ma wątpliwości, że pozostawił po sobie bardzo dużo. Przekonywał, że jeśli człowiek ma jakiś talent lub umiejętność, nie powinien zatrzymywać tego dla siebie, lecz dzielić się z ludźmi, nawet gdy wydaje mu się, że to nic szczególnego. Że zawsze, w każdej sytuacji trzeba myśleć o innych, zwłaszcza o najsłabszych. Stworzył polski program Pilgrim, ukiepunkowany na zrównoważony rozwój połączony z duchowością. Za wielkoduszną postawę i ogromne zaangażowanie w pracę na rzecz dzieci z niepełnosprawnością intelektualną otrzymał Medal im. dra Henryka Jordana oraz wiele innych nagród i wyróżnień. Osobom z niepełnosprawnością intelektualną poświęcił całe życie, bo własnego życia bez ich obecności sobie nie wyobrażał.

Pomoga wypełnić wniossek

Fundacja „Tyflologika” z siedzibą w Poznaniu zachęca do skorzystania z pomocy kierowanej do osób z niepełnosprawnościami w stopniu umiarkowanym i znacznym na etapie ubiegania się o wsparcie finansowe ze środków PFRON, między innymi w zakresie pokonywania barier w komunikowaniu się i technicznych w ramach programu „Aktywny Samorząd”.

Pracownicy Fundacji pomagają wypełnić wniosek i kompletować dokumentację, przekazują niezbędne załączniki w celu udania się do lekarza specjalisty, przeprowadzają diagnozę potrzeb osoby z niepełnosprawnością i na jej podstawie doradzają w kwestii doboru sprzętu elektronicznego.

Ponadto pomagają wysłać kompletny wniosek (wraz z

załącznikami) do Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie lub Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie drogą mailową bądź za pośrednictwem systemu SOW, a także monitorują przebieg rozpatrywania wniosku.

Jeżeli osoba zainteresowana otrzyma dofinansowanie, wówczas Fundacja realizuje umowę tej osoby z MOPR lub PCPR, sprowadza wnioskowany sprzęt, wystawia faktury i wysyła je do jednostki dofinansowującej.

Fundacja „Tyflologika” mieści się przy placu Cyryla Ratajskiego 6. Szczegółowe informacje na temat wsparcia w ubieganiu się o dofinansowanie uzyskać można pod numerami telefonów: 693 949 776, 665 012 114 lub mailowo: fundacja@tyflologika.pl *Oprac. KK.*



Magda poznaje salę tyfloakustyczną.

Fotografie świata zwierząt

Serdecznie zapraszamy pla-
Scówki z terenu powiatu poznańskiego, które na co dzień prowadzą terapię zajęciową dla osób z niepełnosprawnościami (warsztaty terapii zajęciowej, środowiskowe domy samopomocy), do udziału w konkursie fotograficznym pod tytułem: „Świat zwierząt w skali makro w ujęciach osób z niepełnosprawnościami”.

Jeżeli w trakcie wspólnych wyjść, wycieczek z uczestnikami, widzieliście zwierzęta z bliska i udało się je uwiecznić na zdjęciu, to serdecznie zachę-

camy i zapraszamy do udziału w naszym konkursie. Rozstrzygnięcie konkursu odbędzie się 30 września 2021 roku.

Szczegółowe informacje na temat konkursu znaleźć można na stronach www.roktar.pl, www.powiat.poznan.pl oraz pod nr tel. 500-420-323 lub roktar@roktar.pl.

Organizatorem konkursu, współfinansowanego z budżetu Powiatu Poznańskiego, jest Stowarzyszenie Osób Niepełnosprawnych i Ich Rodzin ROKTAR.

ELŻBIETA KRAM
STOWARZYSZENIE „ROKTAR”



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Szansa dla niewidomych – zawód i praca

Dni otwarte w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym dla Dzieci Niewidomych w Owińskach już za nami. Trzy pracowite soboty spędziliśmy z kandydatami do naszej szkoły oraz ich rodzicami, odpowiadając na szereg ważnych pytań. Były to szczere rozmowy o codziennym życiu osób, które mierzą się z problemem utraty wzroku.

Spotkania te upłynęły w miłej i wiosennej atmosferze, sprzyjającej wzajemnej wymianie informacji oraz doświadczeń. Ponadto od września w naszej placówce uczniowie z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu lekkim będą mieć możliwość kształcić się na nowych kierunkach branżowej szkoły I stopnia w zawodach: pracownik pomocniczy obsługi hotelowej oraz pracownik pomocniczy gastronomii.

PRACOWNIK POMOCNICZY OBSŁUGI HOTELOWEJ

Pracownik pomocniczy obsługi hotelowej wykonuje proste czynności w hotelach i innych obiektach, świadczących usługi hotelarskie. Są to: prace porządkowe w pokojach dla gości i w pomieszczeniach ogólnodostępnych; dbałość o estetykę budynku hotelu i jego otoczenia, wspomaganie innych pracowników hotelu przy wykonywaniu zadań, zgodnie ze specyfiką obiektu hotelarskiego.

Przedmioty w kształceniu zawodowym 3-letnim: bezpieczne wykonywanie prac pomocniczych w hotelarstwie; prace pomocnicze wewnątrz obiektu hotelarskiego oraz w jego otoczeniu; nauka języka obcego na potrzeby zawodowe; ponadto kształcenie w formie zajęć praktycznych jak m.in. pielęgnacja roślin i terenów zieleni obiektu hotelarskiego.

PRACOWNIK POMOCNICZY GASTRONOMII

Utrzymywanie porządku w obiektach świadczących usługi gastronomiczne, prace związa-



Magda, nasza pierwszoklasistka.

ne z przechowywaniem żywności, wykonywanie prac pomocniczych w pomieszczeniach produkcyjnych obiektu gastronomicznego, pomoc związana z ekspedycją dań i napojów bezalkoholowych oraz pomoc dotycząca prac handlowo-usługowych.

Przedmioty w kształceniu zawodowym 3-letnim: technologia gastronomiczna i towaroznawstwo, wyposażenie techniczne zakładów gastronomicznych, organizacja, bezpieczeństwo i higiena pracy oraz język obcy zawodowy i zajęcia praktyczne.

Co prawda dni otwarte za nami, ale osoby, które są zainteresowane ofertą edukacyjną i rewalidacyjną placówki zachęcamy do zapoznania się z materiałami edukacyjnymi na fanpage'u Ośrodka lub poprzez kontakt telefoniczny z naszą placówką.

Zapraszamy do Ośrodka w Owińskach.

Kontakt:

Facebook: SOSW dla Dzieci Niewidomych w Owińskach
e-mail: biuro@niewidomi.edu.pl

tel. 61-81-26-737, 61-81-20-486, 61-81-26-505

www.niewidomi.edu.pl

MARLENA GIŻYCKA



Pracujemy – nie dajemy się

Od roku żyjemy w ciągłej niepewności. Nie możemy realizować w pełni swoich planów, zadań, marzeń. Po okresach przerwy wracamy do pracy w reżimie sanitarnym, po czym znowu dowiadujemy się o kolejnym przejściu na tryb zdalny. Mimo pandemii nie poddajemy się i zachęcamy się nawzajem do dostrzegania tego, co pozytywne każdego dnia.

Pozostajemy ze sobą w kontakcie. To dla nas najważniejsze, by nie stracić więzi i podtrzymać relacje. Nie możemy się spotkać, ale możemy do siebie dzwonić, pisać, przesyłamy sobie zadania, uściski i mnóstwo pozytywnej energii. Internet i media społecznościowe dają szerokie możliwości kontaktu, dlatego chętnie je wykorzystujemy.

Robimy to, co jest możliwe. W pracowniach pustki, w budynku cisza. Bez uczestników ośrodek jest martwy. Skupiamy się na pracach porządkowych, planujemy zadania, tworzymy pomysły nowych zajęć. Wykorzystujemy wiosenną pogodę. Na dworze coraz cieplej, zachęcamy uczestników do spacerów i ćwiczeń fizycznych na świeżym powietrzu. Sami pielęgnujemy teren wokół ośrodka. W tunelu foliowym rośnie sałata i rzodkiewka, pielimy rabaty, grabimy zeschnięte liście.

I wierzymy mocno, że niebawem znowu będziemy razem.

MARTA MROWIŃSKA
TERAPEUTKA
WTZ „PROMYK” W OTUSZU



A.M. Krystosik
Gromadzińska
SZCZECIN

JESZCZE TYLKO... POTEM ZASYPIAM 10.04.2021

W środku trzeciej fali pandemii, jedziemy na wizytę kontrolną. 600 kilometrów w samochodzie, wyposażeni w termos z obiadem, termos z herbatą i termos z kawą, pokonujemy tak dobrze już znaną trasę.

Zatrzymujemy się na tym co zwykle parking, by zjeść tym razem smażone o świecie kotlety z ziemniakami i buraczkami. Pandemiczne zestawy podróżne są trzy: pierogi, sos mięsny z puree lub wspomniane kotlety. Jeżeli jest ładna pogoda, to można rozłożyć się na ławce i cieszyć się posiłkiem pod gołym niebem. Jeżeli jest zimno i pada deszcz, jak tym razem, to obiad staje się denerwującym obowiązkiem. Ograniczona przestrzeń w samochodzie mocno daje się we znaki. Jeżeli jeszcze kotlet spadnie z prowizorycznego talerza i wylądnie na butach, to o wybuch złości nie trudno.

Wyprawa do toalety na parkingu też nie należy do przyjemności. Maski, rękawiczki i wiatr wiejący po... no wiadomo po czym wieje wiatr, gdy wszystkie okna są otwarte.

W stolicy „korki”, ale taka to już specyfika miejsca. Jeszcze tylko trzeba wnieść cykler na drugie piętro, wnieść kartony z płynem do dializ i walizki, które na szczęście z roku na rok robią się coraz mniejsze i lżejsze. Podczas wędrówek przez wąską klatkę schodową staramy się unikać sąsiedów i dezynfekować co chwilę ręce. Kilka spacerów po schodach i można odetchnąć po podróży. Zaraz, zaraz... nie można, bo przecież za chwilę dializy i trzeba posprzątać. Jak w starym zamku, w naszym mieszkanku, wszystkie meble pozakrywane są zakupionymi w „ciuchbudzie (i upragnymi oczywiście) poszwami, narzutami i obrusami. Należy je ostrożnie zdjąć, złożyć w kostkę i przy najbliższej okazji wytrzeć na dworze, a w lecie wyprać i wysuszyć w ogrodzie. Potem należy dokładnie zetrzeć kurz, bo jednak sporo się go gromadzi, gdy nie ma nas sześć tygodni. Skąd się bierze? Nie mam pojęcia. To dla mnie odwieczna zagadka. Skąd się bierze kurz? Potem należy zmyć podłogę, podłączyć maszynę...

Można odpocząć? Nie moż-



FOT. (2X) ARCHIWUM WTZ „PROMYK”

W środku trzeciej fali pandemii

na. Trzeba pomóc Pawłowi z toaletą, zmienić opatrunek i podłączyć go do dializy. Potem zrobić lepszą kolację, czyli drugi obiad, bo ten jedzony po drodze, chyba się nie liczy, skoro głód jest tak przejmujący. Staję więc przy naszej kuchni, to znaczy płycie inдукcyjnej z Lidla i wymyślam co zrobić z prawie niczego. O dziwo spływa na mnie natchnienie i komponuję danie, które w szczecińskim domu, by zapewne nigdy nie powstało. Do tego jest smaczne i zdrowe. Jest pandemia, do sklepu nie pójde. Chciałby nawet za darmo dawał towar, nie pójde. Zachorowań jest w stolicy wielokrotnie więcej niż u nas.

Zjedliśmy. Usiadę? Odpocznę? Jeszcze tylko rozpakuję walizki, poukładam zapasy, które jak prawdziwe „stoiki” przywieźliśmy z prowincji szczecińskiej do Warszawy, by nie pomrzeć tu z głodu, poukładam ubrania, ogarnę wszystko... Za oknem zrobiło się już tak ciemno? Matko święta! To niemożliwe, że jest już po 23. Jak ten czas szybko leci. Jeszcze tylko przyniosę Pawłowi picie, leki wieczorne, zestaw do mycia zębów. Gdy ma dializę, to już nigdzie sam pójść nie może. Jeszcze tylko... Już północ?

Kładę się spać. Jeszcze tylko poczytam jakąś książkę. Bez wieczornej lektury nie zasnę.

Nigdzie i nigdy nie śpi mi się tak dobrze jak w naszym warszawskim mikroskopijnym mieszkanku. Zadaję sobie czasem pytanie – dlaczego?

Czy łóżko jest wygodniejsze niż inne? Raczej nie...

A może jest ciszej? Raczej nie. Jakies bioprapdy...?

Odpowiedź jest jedna i bardzo prosta. Niedawno ją są sobie uświadomiłam. W odległości kilkuset metrów jest szpital, w którym czeka na Pawła o każdej porze dnia i nocy pomoc. Miejsce, w którym jest znana historia jego choroby, w którym nie jest anonimowy. Blisko jest do miejsca, w którym zgromadzone jest wszystko, co jest potrzebne do dializy, w którym można rozwiązać problemy, gdyby takie się pojawiły. Jest blisko do ludzi i miej-

sca, w którym można uratować Pawła. Jeżeli pojawi się nerka dla Pawła, to szybko można dotrzeć do szpitala i czekać na przeszczep. Bariera odległości nie istnieje. Wiem, że w razie czego, nawet z cyklerem, zapakuję Pawła do samochodu i za pięć minut jesteśmy na izbie przyjęć.

Dlatego śpię tak spokojnie. Jak nigdzie indziej. 99% stresu po prostu nie istnieje. Przykładam więc głowę do poduszki i już mnie nie ma. „Można szybko uratować Pawła”... z taką myślą zasypiam.

I chociaż szczerze nie lubię tego i innych szpitali, czy można w ogóle lubić szpital? To jego fizyczna bliskość daje mi poczucie bezpieczeństwa, którego na co dzień tak bardzo brakuje.

Mogę powiedzieć, że mam szczęście jako rodzic chorego. Jest bowiem na świecie miejsce, w którym czuję się dobrze i bezpiecznie. Na kilkadziesiąt godzin zdejmuję ciężar odpowiedzialności z pleców. I chociaż muszę robić dokładnie to samo co 600 kolometrów dalej, to czuję się wolna. Szpital jest tak blisko. Odpoczywa umysł i odpoczywa ciało. Paweł jest bezpieczny. Tylko wtedy się tak czuję.

Jeszcze tylko poczytam, jeszcze tylko posłucham miarowego oddechu Pawła i równie miarowego szumu cyklera... i zasnę. Pomimo pandemii, pomimo wszystkiego, jesteśmy blisko szpitala, ale nie w nim i to jest takie nasze małe szczęście.

PANDEMICZNA I NIEPANDEMICZNA WIOSNA 25.04.2021

Znów przyszła wiosna niezmiennie, niezależnie od pandemii, nawet niezależnie od pogody, która wysokimi temperaturami raczej nas nie rozpieszczę. Ziemia zaczęła pachnieć, z dnia na dzień przybywa w ogrodzie kwiatów. Trzmiele, pszczoły, motyle, nawet ślimaki stały się naszymi codziennymi towarzyszami. Cieszy ruch, życie, które wprowadzają wokół.

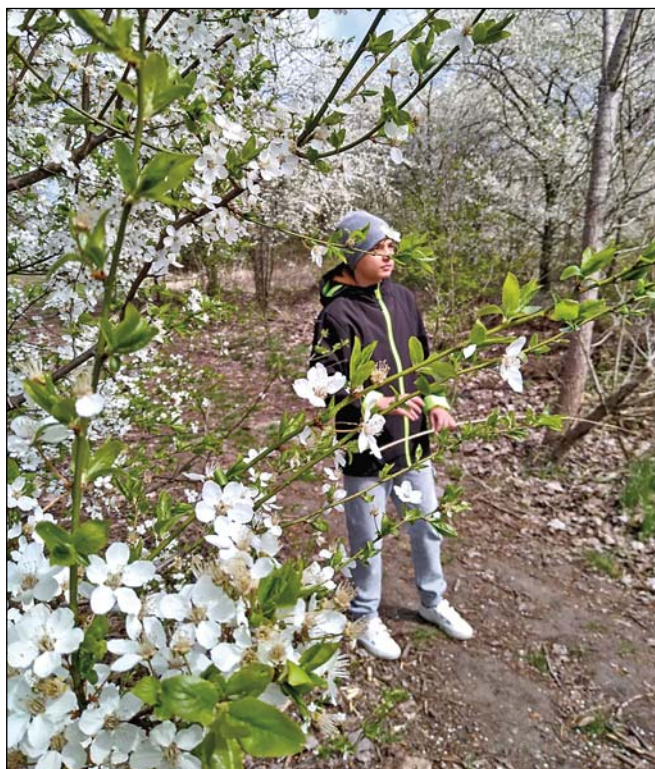
Ale prawdziwy obraz wiosny znaleźliśmy kawałek dalej, nie w

naszym ogrodzie. Piętnaście minut spaceru i mamy po sąsiedztwu opuszczony, zdziczały sad. Soczyście zielona trawa kontrastuje z bielą kwitnących drzew. Jest ich tak dużo i tak mocno pachną, że można poczuć się jak w jakimś innym, zachwycającym świecie. Gdy chodzi się mając nad głową obsypane kwiatami gałęzie i przebijający przez nie błękit nieba, to zapomina się o wszystkim. To najlepsza terapia jaką można sobie wyobrazić. Piękno jest wręcz porażające. Nie sposób mu się oprzeć. Oddziałuje na wszystkie zmysły. Cudowne obrazy, intensywne zapachy, dopełnia ogłuszające bzyczenie pszczół. W tym sadzie czuje się potęgę natury. Drzewa żyją karmiąc tysiące owadów, są domem dla dziesiątek ptaków. Człowiek czuje się taki mały. Wcale nie jest potrzebny temu światu, a jednak ten świat go przyjmuje i obdarowuje swoim pięknem. Drugi dzień z kolei wracamy do sadu całą rodziną. Nie można mu się oprzeć. Magmetyzm tego miejsca zawład-

nał nami. Jeszcze tylko kilka dni i kwiaty opadną. Ale mamy tych kilka dni, podczas których możemy podziwiać spektakl natury. Nie wiem, czy widziałam kiedyś coś równie pięknego.

Może to przez pandemię, a może to zupełnie niezależnie od niej, ale w „naszym” sadzie czujemy, że świat jest jednak przyjaznym dla nas miejscem. Świetnie sobie bez nas radzi, ale nie zamyka się przed nami. Pandemiczna wiosna jest po prostu wiosną, niezależnie od wszystkiego. A może pozostając w domu tak długo, lepiej widzimy piękno, które jest na wyciągnięcie ręki. Może na nowo potrafimy się nim zachwycić i docenić, że wciąż jesteśmy częścią tego pięknego świata.

I na koniec pomyślałam, że wokół szpitali powinno być jak najwięcej zieleni i kwitnących na wiosnę drzew, pachnących bzów, jaśminów. Wielu chorych mogłoby czerpać z takiego widoku radość, nadzieję i siłę, a kto wie, może nawet i zdrowie.



FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Pokonać skutki wirusa

NeuroCOVID – poradnia pod taką nazwą działa w Poznaniu od 13 kwietnia tego roku. Mieści się w Szpitalu Klinicznym im. Heliadora Święcickiego przy ulicy Przybyszewskiego. Jej pacjentami mogą zostać ozdrowieńcy, u których wystąpiły powikłania na skutek zakażenia koronawirusem. Poradnia powstała z inicjatywy prof. Sławomira Michalaka i dr Joanny Rybackiej-Mossakowskiej, pracowników kliniki neurologii tego szpitala.

Wielu Polaków wciąż nie zdaje sobie sprawy, jak wysoce dotkliwe mogą być konsekwencje przechorowania koronawirusa. Póki nie chorujemy, zdaje się nam, że wirus nie istnieje. Dopiero, gdy COVID-19 dotknie kogoś bliskiego lub nas samych i wytworzy spustoszenie w organizmie, zapala się „czerwona lampka”. Wtedy gorączkowo zaczynamy szukać ratunku.

Z pomocą przychodzi wyżej wspomniana poradnia, w której leczone będą między innymi deficyty neurologiczne związane z udarem niedokrwiennym mózgu, zaburzenia koncentracji, uwagi, pamięci czy objawy neuropatii/polineuropatii występujące po przebiegu COVID-19. Chorzy mogą zgłaszać się do poradni NeuroCOVID ze skierowaniem od lekarza rodzinnego we wtorki w godzinach od 13.00 do 16.00.

Powikłania po zakażeniu SARS-CoV-2 to także bóle głowy, zaburzenia czucia, problemy z pamięcią i halucynacje węchowe. Poradnia otacza opieką specjalistyczną pacjentów, zapewniając im profesjonalną pomoc i rehabilitację medyczną. „Nawet do 84% osób, które przebyły COVID-19, rozwija objawy związane z fazą ostrą zakażenia – obejmujące zaburzenia węchu i smaku, deficyty neurologiczne, w tym zaburzenia mowy i niedowłady oraz problemy zakrzepowe. Opieka specjalistyczna zmierza do złagodzenia powyższych objawów i przywrócenia lub przynajmniej poprawy codziennego funkcjonowania znacznej grupy chorych” – czytamy na stronie www.ump.edu.pl.

Oprac. KK.

Śpiew kibiców...

Kornel Klorek, uczestnik naszego Warsztatu Terapii Zajęciowej „Promyk” w Konarzewie to wyjątkowa osoba – człowiek o wielkim sercu, pełen dobra i empatii, zawsze zaangażowaniem robi wszystko, czego się podejmie. Jego wielką pasją jest sport. To jego fascynacja od dziecka.

Wielu dyscyplin sportowych nie może uprawiać z powodu swojej niepełnosprawności, co nie przeszkadza mu kochać sportu i spełniać się w sportowym kibicowaniu. Chciałby jednak jako zawodnik grać w meczu, na prawdziwej murawie, gdzie słyszy śpiew kibiców na stadionie. Jego największe marzenie? Chodzić na własnych nogach i stać się człowiekiem niezależnym.

Ostatnio Kornel trafił do pracowni komputerowej, co mnie ucieszyło, gdyż bardzo chciał nauczyć się pisać na komputerze. Wspólnie stworzyliśmy kilka ciekawych artykułów, które z pewnością będziecie mogli przeczytać na łamach „Filantropa”.

Co mnie tak bardzo urzekło w osobie Kornela? Jego wiedza na temat sportu. Sama interesuję się sportem, jednak w porównaniu do wiedzy Kornela moja wiedza jest bardzo płytka. Zna cały harmonogram zdarzeń sportowych. Historia ulubionych klubów sportowych również nie jest mu obca. Wie, w którym roku jego ulubiona drużyna zdobyła jakie trofeum i z kim stoczyła o nie bój. Jestem pod ogromnym wrażeniem jego pasji oraz chęci pogłębiania swojej wiedzy. Mam nadzieję, że będzie rozwijał ją dalej, bo to piękna sprawa mieć swoją pasję i zainteresowania.

KATARZYNA BOROWIAK
TERAPEUTKA WTZ „PROMYK”
W KONARZEWIE



FOT. ARCHIWUM WTZ „PROMYK”

Tempa nie zwalniamy

Od 23 marca br. decyzją Wojewody Wielkopolskiego zajęcia warsztatów terapii zajęciowej zostały zawieszone. W murach budynku w Konarzewie zrobiło się cicho i milcząco. Nam, terapeutom brakuje codziennego gwaru, uśmiechów i rozmów uczestników.

Teraz jest to czas, kiedy w naszych pracowniach odbywają się wiosenne porządki. Terapeuci przygotowują nowe zadania dla uczestników oraz poszukują nowych inspiracji i pomysłów. Wokół budynku WTZ w Konarzewie wykonaliśmy prace porządkowe. Cały teren zielony został uprzątnięty.

Terapeuci tempa nie zwalniali i przez cały czas na naszym profilu facebookowym wrzucają nowe propozycje zadań, dekoracji i ciekawostek dotyczących jedzenia.

Uczestnicy przesyłają zdjęcia swoich wykonanych prac, które są wstawiane na fanpage. Sadzonki sałaty przygotowane przez uczestników pracowni bukieliarsko-ogrodniczej posadzono w tunelu foliowym w WTZ w Otuszu. Teraz zostało nam tylko czekać na ponowne wznowienie zajęć oraz na nasze zasiane plony.

ASIA JANOWICZ
TERAPEUTKA WTZ „PROMYK”
W KONARZEWIE



FOT. (2X) ARCHIWUM WTZ „PROMYK”

Niemożliwe nie istnieje!

Nazywam się Angelika Stachowiak, mieszkam w Drwèsie, niewielkiej wsi położonej w powiecie poznańskim, w gminie Dopiewo. Od marca zaczęłam uczęszczać do Warsztatu Terapii Zajęciowej „Promyk” w Konarzewie.

Pierwszą pracownią, w której rozpocząłam swoją przygodę była pracownia gospodarstwa domowego. W pracowni każdego dnia uczyć się wykonywać nowe czynności, zapoznają się z funkcjonowaniem pracowni, uczyć się posługiwać sprzętem AGD i przybarami kuchennymi, poznają także proste i sprawdzone przepisy kulinarne, na podstawie których przygotowuję różnego typu potrawy. Lubię gotować, odkrywać nowe smaki, potrawy, poznając tajniki kuchni i gotowania. Dużo radości i satysfakcji sprawiają mi

miłe słowa i opinie terapeutek. Jest to dla mnie duże wyróżnienie, a także motywacja do dalszej pracy.

W Warsztacie poznałam wiele bardzo interesujących osób, z którymi lubię rozmawiać i spędzać czas. Uczestnicząc w zajęciach warsztatowych chciałam również dać się lepiej poznać moim nowym znajomym, opowiedzieć o sobie, swoich zainteresowaniach, pasjach, być może kogoś zainspirować swoją historią, zmotywować do pracy.

Moją wielką pasją, od najmłodszych lat jest judo. Chciałabym się z Wami podzielić swoją wiedzą i historią, a także opowiedzieć w kilku zdaniach o tej dziedzinie sportu.

Od najmłodszych lat trenuję w Akademii Judo w Poznaniu. To właśnie rodzice zaszczepili we mnie ducha walki i sportu, za co jestem im bardzo wdzięczna, to bardzo pomaga mi w codziennym życiu, pomaga rozwijać ważne cechy charakteru, a także kształtuje ciało. Dyscyplina i konsekwencja to niezwykle ważne i niezbędne cechy w sporcie. Sport pokazuje, że nie tylko cel ma znaczenie, ale to przede wszystkim często nawet bardzo długa droga do niego. Sport sam w sobie uczy pokory, akceptacji, a także radzenia sobie z czynnikami zewnętrznymi, na które często nie mamy wpływu.

Może opowiem Wam w kilku słowach, jaką dyscypliną sportu jest judo. Jest to sztuka walki stworzona w Japonii, sport który rozwija wszystkie partie mięśni, niezwykle ważnym elementem judo są ćwiczenia gimnastyczne. Judo to nie tylko umiejętności techniczne i walory zdrowotne, to także, a może i przede wszystkim kształtowanie charakteru. Często to nie tylko sportowa rywalizacja między zawodnikami, ale pokonywanie swoich oporów, własnych słabości, wewnętrznych barier psychicznych – to bardzo ważne w sporcie i życiu codziennym. Wiara w siebie i swoje możliwości to ważna umiejętność, której można się nauczyć, to niezbędna cecha przy wyznaczaniu kolejnych, nowych celów. Trudno spełniać i realizować marzenia bez wyznaczonych celów i poczucia, że nam się uda je spełnić.

Wiara w siebie, ciężka praca i determinacja pozwoliły mi na

udział w wielu zawodach, codzienne treningi pozwoliły mi także spełnić swoje marzenie – wziąć udział w Letnich Światowych Igrzyskach Olimpiad Specjalnych w Abu Dhabi, w Dubaju i zdobyć srebrny medal. To niebywałe i wyjątkowe uczucie zawiesić srebrny medal na szyi. Było to dla mnie duże przeżycie i osiągnięcie, spełnienie moich dotychczasowych pragnień, udowodnienie sobie i innym, że nie ma rzeczy niemożliwych, a ograniczenia tak naprawdę nie istnieją – są tylko w naszej głowie. Nie bójmy się walczyć o swoje marzenia.

Chcę pokazać ludziom – również tym zmagającym się na co dzień z niepełnosprawnością, że wszystko można, jeśli się tylko chce – czasem wystarczy się tylko zmotywować, wyjść z domu i zacząć realizować swoje

pasje, spełniać się, goniąc własne marzenia, gdyż są one takie piękne. Dziś udowadniam sobie i innym ludziom, że nie ma rzeczy niemożliwych.

Kolejnym moim celem jest wywalczenie złotego medalu na Igrzyskach – to będzie mój kolejny cel, kolejny złoty punkcik odhaczony na drodze do osiągnięcia sukcesu i celu – jestem głodna kolejnych sukcesów, które są dla mnie niezwykle motywujące.

Mam nadzieję zdobyć kolejny medal udowadniając sobie po raz kolejny, że niemożliwe nie istnieje, a motywacja jest moją wewnętrzną siłą i energią popychającą mnie każdego dnia do działania. Takiej wewnętrznej życiowej energii i radości życzę Wam z całego serca!

ANGELIKA STACHOWIAK
UCZESTNICZKA WTZ „PROMYK”
W KONARZEWIE



Sprawdź, czy dobrze słyszysz

Wczasach automatyzacji i informatyzacji coraz częściej jesteśmy narażeni na hałas. Maszyny wykorzystywane w budownictwie oraz do produkcji narzędzi i urządzeń, samochody, a zwłaszcza słuchawki bezprzewodowe, z których nadmiernie korzystamy prowadząc rozmowy telefoniczne czy po prostu słuchając muzyki, mogą powodować uszkodzenie słuchu. Według danych na niedosłuch cierpi około 6 procent osób w Polsce. Ekspertki szacują, że w 2050 roku ten wskaźnik procentowy może wzrosnąć do 9.

Pozornie wydaje się, że problem niedosłuchu dotyczy wyłącznie osób w starszym wieku. Niestety, tak nie jest, co potwierdzają doniesienia naukowe. Efekt życia w ciągłym hałasie i niewłaściwego użytkowania urządzeń mobilnych jak smartfony czy wspomniane słuchawki, przyczynia się do pogorszenia jakości słuchu. Niedosłuch często wykrywany jest na etapie rutynowych badań kontrolnych. Wielu pacjentów nie wie, że cierpi na niedosłuch i w związku z tym nie zgłasza się po pomoc lekarską. Tymczasem wcześniej wykryty niedosłuch oraz zastosowanie odpowiednio dobranego aparatu słuchowego ogranicza pogłębianie się dolegliwości. Światowa Organizacja Zdrowia informuje, że aż 83 procent osób na świecie, które powinny używać aparatów słuchowych, nie korzysta z nich. Najczęstszym powodem tej sytuacji są wysokie koszty zakupu aparatu słuchowego. Dlatego specjaliści zwracają uwagę na konieczność wdrożenia wyższej refundacji aparatów słuchowych. Niedosłuch nie zalicza się do rzadkich schorzeń, a do problemów cywilizacyjnych, zaś trudność związana z zakupem aparatów słuchowych nie dotyczy wyłącznie naszego kraju, ale i wielu innych – szczególnie zaznacza się w najuboższych regionach świata. Odrębną kwestią jest

poczucie wstydu związane z koniecznością używania aparatu słuchowego – niektórzy pacjenci, choć mają możliwości finansowe, by go zakupić, nie czynią tego w obawie przed wysmianiem przez innych. Również regularne badania słuchu nie są tymi, które Polacy chętnie wykonują w celach kontrolnych.

Bezpłatne badania słuchu oferują podmioty lecznicze zajmujące się diagnostyką i leczeniem zaburzeń słuchu. Warto przeznaczyć trochę czasu i wybrać się na takie właśnie badanie, szczególnie jeśli podejrzewamy kłopoty z prawidłowym słyszeniem. Szczególną troską w tej kwestii winny być otoczone osoby w podeszłym wieku i z niepełnosprawnościami, gdyż mogą one nie zdawać sobie sprawy, że źle słyszą. Badanie słuchu nie jest bolesne i nie trzeba się go obawiać ani się nim stresować. Poprzedza je zazwyczaj rozmowa z audiologiem, czyli wywiad medyczny, którego celem będzie uzyskanie informacji na temat ogólnego stanu zdrowia pacjenta, przebytych chorób oraz czy w przeszłości występowały problemy ze słuchem. Po rozmowie następuje wstępne badanie uszu, czyli sprawdzenie, czy nie ma przeciwwskazań do wykonania badania słuchu (przewody słuchowe powinny być drożne). Kolejnym etapem jest wykonanie audiometrii tonalnej, na którą składa się seria testów słyszenia dźwięków. Pacjent siada w kabinie ciszy z nałożonymi na uszy słuchawkami i odsłuchuje dźwięki o różnej wysokości i głośności. Ostatnim krokiem jest omówienie wyniku badania słuchu oraz wdrożenia ewentualnej terapii.

W wielu podmiotach medycznych pracują wykwalifikowani protetycy słuchu. Kim jest protetyk słuchu i co należy do jego obowiązków? Protetyk słuchu – to osoba, która projektuje i wykonuje urządzenia wspomagające słyszenie, między innymi aparaty słuchowe. Zajmuje się również wykonywaniem

badan słuchu u dzieci oraz osób dorosłych. Analizuje wyniki badań i na ich podstawie dobiera i dopasowuje do indywidualnych potrzeb pacjenta sprzęt wspomagający słyszenie. Wykonuje odlewy ucha, pracuje przy produkcji wkładek usznych i odbudowywaniu aparatu wewnątrz usznego. Protetyk słuchu sprawuje też opiekę audioprotetyczną nad pacjentem i jego rodziną. Protetycy słuchu przed rozpoczęciem pracy są odpowiednio kształceni w tej dziedzinie oraz przechodzą specjalistyczne szkolenia, co gwarantuje pacjentowi otrzymanie profesjonalnej pomocy. Udzielają pacjentom informacji, co do możliwości czy zasad ubiegania się o dofinansowanie do zakupu aparatu słuchowego bądź innego urządzenia wspomagającego słyszenie. Przedstawiciel tego zawodu ponadto wyjaśni nam, jak działa aparat słuchowy oraz jak sobie z nim radzić w początkowym etapie użytkowania. Badania słuchu zarówno u dzieci jak i osób dorosłych stają się powszechne, a dostęp do nich jest znacznie łatwiejszy niż kilka dekad temu. Częste proszenie rozmówcy o powtórzenie tego, co powiedział, słaby odbiór komunikatu przez telefon (mimo odpowiednio ustawionej regulacji głośności), problem z prowadzeniem rozmowy w hałasie, uczucie zablokowania oraz zatkania ucha, odczuwanie szumów i dzwonienia w jednym lub obojgu uszu, słyszenie przytłumionych dźwięków, a także inne, podobne do wyżej wymienionych, dolegliwości powinny skłonić do wizyty w gabinecie audiologicznym. Istotną sprawą jest również wspomniane regularne badania słuchu. Osobom, u których zdiagnozowano problemy ze słyszeniem, pacjentom z przewlekłym zapaleniem uszu i po ukończeniu 50 roku życia, a także pracownikom narażonym na hałas zaleca się raz na dwa lata wykonywać badanie słuchu.

KAROLINA KASPRZAK

pocztą
FILANTROPIA



9 stycznia przyszła na świat nasz córeczka, Marysia Drożdżyńska. My, rodzice, Alicja i Mikołaj, byliśmy bardzo szczęśliwi. Wręcz podręcznikowa ciąża, o którą dbała mama, nie wróżyła niczego złego. Wzruszony tato mógł pierwszy raz wziąć malenką córkę na ręce.

Jednak beztraska nie trwała długo. Jeszcze w szpitalu zauważono słabe napięcie mięśniowe. Marysia została przewieziona karetką do szpitala w Poznaniu na kolejne badania. Już następnego dnia byliśmy w Poznaniu, mama w ciągu dnia mogła być z córeczką, jednak w nocy mała zostawała sama. Po kilkunastu dniach spędzonych w Poznaniu wróciliśmy do domu.

2 lutego zadzwonił telefon z diagnozą – SMA typu I. Nasz świat przewrócił się do góry nogami. Marysia kolejne tygodnie spędziła w szpitalu, rozpoczynając refundowaną przez rząd terapię lekiem spinrazą. Mogłam być z córką cały czas, nie opuszczałam oddziału zgodnie z wymogiem. Oznaczało to separację od całej mojej rodziny.

Najsukuteczniejszym na świecie lekiem na chorobę SMA typu 1, powodującą całkowity zanik mięśni i zagrażającą życiu, jest lek zolgensma, sprowadzany ze Stanów Zjednoczonych. Nie jest on refundowany w Polsce, a kosztuje ponad 9 milionów złotych.

Ocalić zdrowie i życie małej Marysi

Tylko dzięki niemu Marysia ma szansę na sprawność i samodzielne życie, a nawet na prawie bezobjawowe przebieganie choroby.

Pierwszy szok, niedowierzanie, potem lzy i strach zamieniliśmy w siłę na walkę o zdrowie i życie Marysi. Organizowaliśmy zbiórkę na portalu siepomaga.pl, akcję na portalu DobryKlik.pl i licytację na portalu Facebook. Organizujemy różnego rodzaju akcje i kiermasze, kontaktujemy się z mediami.

Walczymy o każdą złotówkę, żeby zebrać pieniądze jak najszybciej, gdyż lek zolgensma może być podany dziecku do osiągnięcia wagi 13,5 kg. Im szybciej jest podany, tym większe są szanse na wyzdrowienie. To dla nas powód do intensywnej walki z czasem. Marysia jest cały czas rehabilitowana. My rodzice i cała nasza rodzina walczymy o zdrowie i życie naszego dziecka.

Choroba SMA typu I to

rdzeniowy zanik mięśni, powodowany wadą genetyczną w genie SMN1. Gen ten wraz z genem SMN2 odpowiada za produkcję białka SMN, które potrzebne jest do prawidłowego funkcjonowania motoneuronów odpowiedzialnych za kontrolę ruchu mięśni szkieletowych. Brak białka SMN prowadzi do obumierania neuronów i tym samym do osłabienia i zaniku mięśni szkieletowych, co skutkuje częściowym lub całkowitym paraliżem.

Refundowany w Polsce lek spinraza zatrzymuje postęp choroby poprzez zwiększenie ilości białka SMN w neuronach ruchowych. Lek ten poprzez wklucie lędźwiowe wprowadzany jest do rdzenia kręgowego i sprawia, że wadliwy gen ulega częściowej naprawie i zaczyna wytwarzać większą ilość białka. Z reguły taki poziom białka wystarczy, żeby zatrzymać na jakiś czas postęp choroby. Spinraza musi więc być przyjmowana stale, do końca życia.

W przeciwnym wypadku następuje wznowienie choroby.

Lek zolgensma to środek na skuteczną i trwałą terapię wadliwych genów. Stosuje się go jednorazowo i przyjmuje się, że będzie działać do końca życia pacjenta. Podanie leku następuje poprzez trwający około godzinę wlew dożylny.

Największą zaletą terapii genowej jest szybkie rozpoczęcie działania leku. Już po kilkudziesięciu godzinach od jego podania poziom białka SMN u pacjenta porównywalny jest z poziomem białka u osoby zdrowej. Lek ten najskuteczniejszy jest w leczeniu niemowląt i małych dzieci, u których nie ma jeszcze objawów SMA lub pojawiły się one niedawno. Im wcześniej zolgensma zostanie podana, tym lepsze będą jej efekty. Zdrowie i życie dziecka będzie ocalone.

Ten bardzo skuteczny lek na tak okrutną chorobę jak rdzeniowy zanik mięśni jest jednocześnie jednym z najdroższych leków na całym świecie.

Mimo to będziemy zabiegać o uratowanie naszego ukochanego dziecka. Wierzimy, że ludzie dobrego serca pomogą w naszych staraniach.

Przesyłamy Państwu linki do zbiórki i opisu historii Marysi:

<https://www.siepomaga.pl/maria>

<https://www.youtube.com/watch?v=frGtCBxWz7U>

<https://www.facebook.com/groups/213897527148047>

ALICJA BRACH

MIKOŁAJ DROŹDŻYŃSKI

RODZICE MARYSI

Brenno, ul. Ogrodowa 2

64-150 Wijewo

alicja.brach@o2.pl

tel. 607-311-723

Wyrażamy zgodę na publikację treści maila, publikację załączonych w tym i poprzednim mailu zdjęć oraz naszych danych.





Rafał Bendarowicz w Warsztacie Terapii Zajęciowej jest trochę krócej niż ja. Ale znam go na tyle, że mogę napisać o moim kole-dze małe sprawozdanie. Kim jest? Co lubi? Jakie ma pasje? Pamiętam jak dziś pierwszy dzień pojawienia się Rafała u nas w ośrodku. Zwiedzał wtedy warsztat i był pełen obaw, jak to u nas będzie.

Kiedy zaczął uczęszczać z nami do Warsztatu, rozpoczął terapię w pracowni stolarskiej, którą bardzo polubił. Pierwsze tygodnie kolega przyuczał się do szlifowania i obróbki drewna. Jako nowi przyjaciele Rafała, chcąc poznać go lepiej, zachęcaliśmy do udziału w występach wokalnych. Z cichej, zamkniętej duszy Rafcia okazał się wulkanem pełnym energii, diamentem scenicznym i amantem kobiecych serc. Kiedy Rafał wychodzi na scenę, to potrafi szybko rozkręcić imprezę, a schodzi ze sceny z gromkimi brawami.

Ma swój nietypowy urok. Kocha żarty, muzykę disco polo i lubi mówić ulubione słowa do koleżanek z grupy jak: „krepka”, „koraliki”, „makaroniki”. Lubi przedrzeżniać innych, ale w bardzo komediowy sposób, bez złośliwości. Często

Nasz

POZNAJMY
SIĘ LEPIEJ

pytany przez naszą kierownic panią Basię, co ma na czwartkowy obiad, to odpowiada, że tratwy; w śmiesznym określe-niu Rafała są to żeberka.

Dziękuję przyjacielu mię-dzy innymi za pomoc podczas kręcenia scen do filmu „W alei dnia”. Bez twojej bezinteresownej pomocy film nie byłby tym, czym jest. Jeśli miałbym zmienić coś w tobie, to mogę wyłącznie prosić, abyś pano-wał nad teatralnymi emocjami. A reszty nie zmieniaj, bo jesteś wyjątkowym oryginałem, mój kolego.

MICHAŁ OGONIAK



sceniczny diament



Jej taniec



to dla nas radość

POZNAJMY SIĘ LEPIEJ

Agnieszka Soporowska, uczestniczka Warsztatu Terapii Zajęciowej w Swarzędzu, porusza się na wózku tak jak ja, ale aktywności każdy jej pozazdrości, a szczególnie długi wędrowcy. Znam się z nią 24 lata. Kiedyś uczęszczaliśmy do tej samej szkoły, spotykaliśmy się na spacerach.

Wiem, że lubi muzykę disco polo, ale uwielbia znany przebieg Alexia: „Uh la la la I Love you baby”. Wystarczy jej wesoła melodia do tańca. I tańczy na swój sposób, czym sprawia sobie i nam w WTZ-ecie ogromną radość. Lubi nasze towarzystwo, wspólne rozmowy, cieszy się, gdy komuś zrobi żart. Każda jej niespodzianka kończy się wybuchem śmiechu, niosącym się na cały warsztat. Najbardziej lubi przebywać w pracowni ceramicznej oraz krawieckiej, uwielbia rehabilitację, basen i pływanie na rowerku wodnym. Lubi ćwiczenia ruchowe, bo wie, że to pomaga utrzymać zdrowie. Nie je ciast, bo dba o linię. Przynosi na śniadanie zdrowe jedzenie: jabłka, marchew, ogórki. Podziwiam jej wytrwałość w postanowieniach.

Do warsztatu przychodzi ze swoją sunią, która jest jej przyjaciółką. Najukochańsza psina o imieniu „Beta” jest adoptowana ze schroniska. Okazuje za to wzruszającą wdzięczność, jest przyjazna i pomocna.

Pomimo niepełnosprawności Aga uwielbia samodzielne wyjazdy na obozy z młodymi ludźmi, którzy są jej opiekunami. Ostatnio jak co roku odbyła pielgrzymkę na Jasną Górę. Boi się startu i lądowania samolotem, lecz przełamuje lęk, by dotrzeć w ciekawe miejsca. Często podróżuje koleją razem z mamą. Kiedy wraca z podróży, to ciekawie nam opowiada, gdzie była i co robiła. Pokazuje zdjęcia i pamiątki.

MICHAŁ OGONIAK

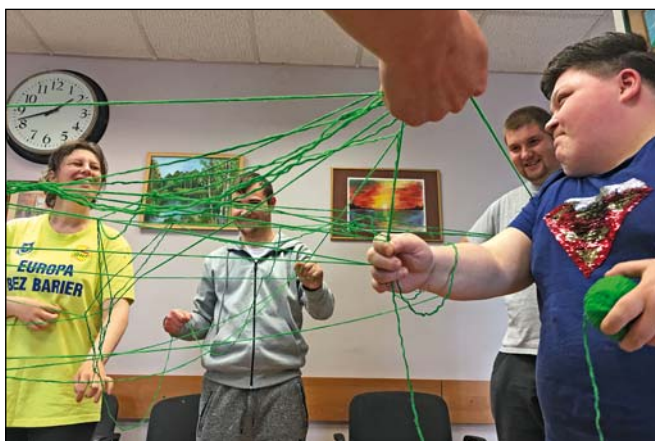




W tej kuchni można się wiele nauczyć.



Zajęcia plastyczne rozwijają kreatywność.



Jedna z zabaw ruchowych.



Chwile relaksu z piłką.

Fundacja Rozwoju Edukacji, Pracy, Integracji (REPI) i prowadzony przez nią Warsztat Terapii Zajęciowej im. Jana Pawła II uruchomiły nowe formy aktywizacji, rehabilitacji i terapii. Przeznaczone są dla osób z niepełnosprawnościami. Są to zajęcia klubowe Warsztatu.

– Zajęcia klubowe mają na celu wsparcie osób z niepełnosprawnościami w utrzymaniu ich samodzielności i niezależności w życiu społecznym i zawodowym – mówi Edyta Sulo, psycholog. – Dzięki nim klubowicze mają możliwość podtrzymywać i doskonalić swoje umiejętności, rozwijać kreatywność i zainteresowania oraz poznawać nowe techniki pracy. Poprzez różne formy terapii zajęciowej mogą poszerzać swoje umiejętności interpersonalne niezbędne w życiu społecznym, ale także nabywać kompetencje zawodowe, które są przydatne w pracy.

Zajęcia odbywają się dwa razy w tygodniu, po siedem godzin dziennie. Uczestnicy zajęć mogą liczyć na terapię zajęciową, rehabilitację ruchową, terapię psychologiczną, zajęcia z rozwoju osobistego. Biorą udział w treningu ekonomicznym, czyli otrzymują pieniądze, którymi uczą się gospodarować. Można także uzyskać zwrot kosztów za dojazd komunikacją publiczną.

O wymogach formalnych informuje kierownik Warsztatu, Tomasz E. Wardała:

– W zajęciach klubowych WTZ może uczestniczyć mieszkaniec Tarnowa, powiatu tarnowskiego lub jakiegokolwiek innego: osoba z orzecznym stopniem

NOWE FORMY AKTYWIZACJI, REHABILITACJI I TERAPII W WTZ W TARNOWIE

Mamy kursy zawodowe, możemy podjąć pracę

o niepełnosprawności ze wskazaniem do warsztatu terapii zajęciowej. To tyle. Wystarczy przyjść do nas na Hodowlaną 6 lub zadzwonić na numer 146-273-503 i umówić spotkanie. Terapię będzie można rozpocząć w ciągu kilku dni.

– Bardzo mi się podobają zajęcia klubowe. Chcę wam powiedzieć, że mamy fajnie zorganizowany czas – mówi Igor Łabno, klubowicz. – Oprócz takich działań mamy rehabilitację zawodową, dzięki której możemy podjąć pracę. Biorę udział w kursie cukierniczym.

Zajęcia klubowe WTZ prowadzone są w ramach umowy dofinansowania nr WZP8412.3.8.2020 o prowadzenie zajęć klubowych w ramach programu „Zajęcia klubowe w WTZ” finansowanego ze środków PFRON.

Zapraszamy do kontaktu: Warsztat Terapii Zajęciowej im. Jana Pawła II, Fundacji REPI, ul. Hodowlana 6, Tarnów, <https://goo.gl/maps/5KkNTAsusPZaXZcD8>, tel. 14-627-35-03, 600-240-223, biuro@repi.pl, www.repi.pl NA



Uczestnicy klubu biorą udział w kursie cukierniczym.



Nauka przygotowywania posiłków.

Profil zaufany nie dla każdego?

Wczasie epidemii i pracy zdalnej niemal wszystkie instytucje publiczne zachęcają obywateli do załatwiania spraw urzędowych drogą elektroniczną. W teorii załatwienie sprawy tą drogą okazuje się bardzo proste, w praktyce – o wiele trudniejsze. Wcale nie tak mała grupa osób z niepełnosprawnościami i starszych w naszym kraju nie posiada komputera z dostępem do Internetu oraz rachunku bankowego, który umożliwia weryfikację tożsamości na etapie zakładania profilu zaufanego.

Profil zaufany – to bezpłatna metoda potwierdzania tożsamości obywatela Polski w elektronicznych systemach administracji. To także nowoczesne i proste narzędzie dostarczania oraz uzyskiwania informacji. Posiadanie profilu zaufanego sprawia, że zaledwie w kilka minut można załatwić ważną sprawę urzędową. Niestety, osoby z ograniczeniami sprawności napotykają w tym temacie na utrudnienia.

„Osoby z niepełnosprawnościami i ich opiekunowie od dawna apelowali o rozwiązanie problemu braku równego dostępu profilu zaufanego dla wszystkich.(...) Profil zaufany nadal pozostaje niedostępny dla osób z niepełnosprawnościami, które nie są w stanie opuścić miejsca zamieszkania i nie mają rachunku bankowego. W takich przypadkach reprezentujący osoby z niepełnosprawnością napotykają trudności w związku z koniecznością potwierdze-

nia tożsamości wnioskodawcy i to pomimo posiadania pełnomocnictwa w formie aktu notarialnego” – czytamy na stronie internetowej Rzecznika Praw Obywatelskich, który apeluje do premiera Mateusza Morawieckiego o naprawienie tej luki systemu.

Z dalszej części komunikatu z dnia 15 kwietnia br. dowiadujemy się, że istnieje możliwość założenia tymczasowego profilu zaufanego i jego potwierdzenie, zaś w celu potwierdzenia tożsamości można wykorzystać możliwość przeprowadzenia tzw. wideoidentyfikacji wnioskodawcy, dzięki czemu osobista obecność w punkcie potwierdzającym nie jest wymagana. Z możliwości wideoidentyfikacji nie można jednak skorzystać w przypadku potwierdzania profilu zaufanego z 3-letnim okresem ważności. Taka konieczność powstaje wraz z upływem terminu ważności tymczasowego profilu zaufanego. Rzecznik otrzymał skargi w sprawie założenia profilu zaufanego na portalu ePUAP oraz braku możliwości potwierdzenia tożsamości osoby z niepełnosprawnością, która nie może uczynić tego samodzielnie. RPO skierował do premiera zapytanie, czy przeprowadzono analizę możliwości wprowadzenia wideoidentyfikacji w celu potwierdzenia profilu zaufanego z 3-letnim okresem ważności. Oby jak najszybciej usługa profilu zaufanego stała się w pełni dostępna dla osób z niepełnosprawnościami. *Oprac. KK.*

Od marca 2020 roku my wszyscy związani z Zespołem Szkół Specjalnych nr 101 w Poznaniu: uczniowie, nauczyciele i rodzice – musieliśmy się zderzyć z nową rzeczywistością, jaką było nauczanie zdalne. Nagle trzeba było odnaleźć się w nowym modelu kształcenia na odległość, wymuszonym sytuacją pandemiczną.

Nauczyciele przygotowywali zadania opatrzone instrukcją i często skierowanym osobiście do ucznia komentarzem, miłym słowem, pozdrowieniem, grafiką. Materiały te umieszczane były na szkolnym dysku Google lub przesyłane mailowo, listownie oraz drukowane do odbioru w szkole. Najważniejsze było, aby każdy uczeń, niezależnie od sytuacji rodzinnej, możliwości technologicznych, miał dostęp do nauczania. Nie poprzestawaliśmy na zadawaniu prac domowych. Nauczyciele starali się utrzymywać systematyczny kontakt bezpośredni z uczniami za pomocą różnych mediów, by rozmawiać z nimi, zapytać o samopoczucie, bo przecież najważniejsze jest, aby być z uczniami i wspierać ich.

Obawialiśmy się trochę wprowadzenia systematycznych zajęć na żywo, korzystając z platformy do komunikacji. Było to niezwykle wyzwanie nauczycieli, uczniów i rodziców. Nie tylko technologiczne, ale też społeczne i emocjonalne. Praca z kom-

puterem wymaga większych umiejętności informatycznych, dobrego jakościowo sprzętu komputerowego i internetowego łącza. Nie od razu wszystko odbywało się tak, jak byśmy sobie tego życzyli, jednak nauczyciele i rodzice zrobili wszystko, by nasi wychowankowie mogli skutecznie uczestniczyć w nauczaniu zdalnym. W czasach lęku o zdrowie swoje i bliskich, w odosobnieniu społecznym, platformy do komunikacji pozwoliły na dobrą pracę z uczniami. To nic, że dzieli nas szyba ekranu. Możemy być razem i przy tym minimalizować ryzyko zakażenia.

Jako wychowawca klasy przygotowującej do pracy jestem pozytywnie zaskoczona szybkim wdrożeniem moich wychowanków w edukację zdalną. Ku mojej radości uczniowie logują się bez problemu i dobrze sobie radzą z obsługą komputera. Opanowali metodę włączania się do rozmowy, prezentowania zadań oraz znacząco poszerzyli wiedzę i umiejętności korzystania z technologii informatycznych. Mimo braku bezpośredniego kontaktu jesteśmy bliscy sobie społecznie; czasy epidemii przyniosły paradoks: komunikacja zdalna zamiast prowadzić do izolacji uczniów i nauczycieli, otworzyła nas na kontakty między sobą. Łączymy się nie tylko na platformie w ramach lekcji, komunikujemy się również przez Messengera i Facebooka. Wspólnie, choć na odległość, obchodzimy całą klasą urodziny, imieniny, wigilię klasową. Łączymy się także z rówieśnikami z innych klas, by porozmawiać, podzielić się swoimi sprawami, pożartować.

Moja klasa zaangażowana jest w szkolny wolontariat, który ze względów oczywistych nie może być realizowany jak przed pandemią. Uczniowie spotykają się online, telefonują, przygotowują kartki świąteczne, pozdrowienia, upominki. Każde spotkanie, każda rozmowa to ogromna radość dla obu stron. Włączamy się również we wszelkie akcje szkolne, konkursy prezentowane na Facebooku lub stronie internetowej szkoły. Rodzice, zawsze gotowi do pomocy, chętnie wspierają nas w tych działaniach. Nauczyciele codziennie odwiedzają swoich uczniów w ich domach i sami goszczą ich u siebie. Sytuacja ta wymaga jednak od obu stron zrozumienia i delikatności. Dlatego uważam, że nie należy upierać się, by uczniowie mieli zawsze włączone kamerki w czasie lekcji.

Po kilku miesiącach kształcenia na odległość dostrzegłam



FOT. KAROLINA KASPRZAK

NAUCZANIE ZDALNE W ZESPOLE SZKÓŁ SPECJALNYCH NR 101 W POZNANIU

To nic, że dzieli nas szyba ekranu

więc wiele jego dobrych stron. Widzę uczniów z innej perspektywy, dostrzegam to czego nie sposób zobaczyć w szkole, na przykład ciekawego zainteresowania. Bardzo odpowiada mi atmosfera na zdalnej lekcji, podczas której uczniowie „wspólnie” zjadają śniadanie, piją herbatę; to wprowadza luz i potwierdza, że edukacja nie musi być wcisnięta w sztywne ramy. Szczególnie ważne jest to w klasach przysposabiających do pracy, gdzie przygotowujemy uczniów do w miarę samodzielnego dorosłego życia. Dlatego też część zajęć z zakresu gospodarstwa domowego nawet w formie online musi odbywać się praktycznie, na przykład prezentacją przygotowania potraw, sadzenia kwiatów, porządków domowych.

W warunkach nauczania zdalnego dostrzegłam istotny atut: mamy więcej czasu na spo-

kojne rozmowy z wychowanymi i rodzicami, którzy spotykają się z nauczycielami prawie codziennie. Służy to zacieśnianiu więzi i budowaniu dobrych relacji. Przekonałam się też, że w zdalnym nauczaniu najważniejsze powinny być: zdrowy rozsądek, wyrozumiałość i troska nauczycieli o uczniów oraz ich samopoczucie. Wbrew różnym opiniom kształcenie na odległość nie jest łatwe, wymaga zaangażowania, kreatywności i empatii ze strony nauczycieli. Zostaliśmy zmuszeni sytuacją, aby radzić sobie w nowej rzeczywistości. Jeśli jednak wykorzysta się obecny czas jako szansę – wówczas to, co wypracujemy, pozostanie z nami na zawsze. Pandemia minie, a my korzystać będziemy z tego, czego się nauczyliśmy.

EWA GRZELEWSKA-MINGE
NAUCZYCIEL-WYCHOWAWCA



Wiosna „Wspólnej Drogi”

Kwiecień plecień, bo przeplata trochę zimy, trochę lata. Taki właśnie był w tym roku miniony miesiąc. Pogoda dawała się nam we znaki. Jednego dnia przygrzewające słońce umilało nam pracę w ogrodzie, innego dnia deszcz uniemożliwiał wyjście poza Warsztat Terapii Zajęciowej „Wspólna Droga”.

Mimo niesprzyjającej aury udało się nam wypielnić rabatki, przyszykować ziemię pod sadzonki sałaty, cebuli oraz rzodkiewki. Przygotowaliśmy również glebę pod zasiew pomidorów i ogórków. W rozsadach również kwitnie życie – z dnia na dzień wzrasta fasola, słoneczniki i bazylia. Z niecierpliwością czekamy na ponowne otwarcie WTZ, które pozostają zawieszane od 29 marca 2021 roku. Powoli budzimy się do życia, choć wiosna w tym roku raczej nas delikatnymi przymrozkami i niskimi temperaturami. Mamy nadzieję, że po majówce wrócimy do pracy w nie zmienionym składzie.

KAROLINA UMERLE



Marek Kalbarczyk
WARSZAWA

Kiedy projektowałem, a następnie pisałem artykuł o poprzedniego numeru „Filantropa”, pomyślałem o kwestii, która przecież nie po raz pierwszy przyszła mi do głowy, a kiedy przychodzi, zaraz się oddala. Odpycham ją, zapewne bardziej podświadomie niż świadomie. Niewykluczone, że tak musi być.

Napisałem wtedy o cu-downym urządzeniu Optacon, który na specyficznym dotykowym ekraniku zwanym dektajlem, na swój niebywały sposób pokazuje uwytkulone i wibrujące obrazy. Żeby zgrabnie napisać tamten tekst, wyjąłem z szafy to urządzenie, włączyłem i przypomniałem sobie, jak ono działa. Położyłem na stole książkę, a na nią kamerkę. Na dektajlu rozciągnąłem wskazujący palec lewej ręki. Cienutkie i bardzo delikatne szpileczki zaczęły wibrować, kiedy światłoczułe elemenciki w kamerce „zauważyły” ciemny tusz na białej kartce. Jako że dawno tego nie robiłem, wypukły obraz był zupełnie niezrozumiały, ale kiedy udało się skorelować działanie obu rąk, prowadzenie kamery i wystarczające wyczulenie skóry palca na dotyk, nastawionego na obserwowanie wibracji, jakby mnie olśniło. Wróciła pamięć tego rodzaju percepcji sprzed lat.

Coś niesamowitego – „widzę” co wydrukowano na oglądanej stronie! „Wjeżdżam” kamerką na przeciwko zwyczajne słowo „Wtedy”, macam literkę po literce, zaczynając od dużego „W” i nie mogę się „doczytać”, że to to. Poruszam prawą dłoń – milimetr w lewo, milimetr w prawo, troszkę w górę, troszkę w dół i wreszcie wiem – tak, to „W”. Przesuwam kamerę w prawo i po chwili „ciszy” na dektajlu zaczyna się nowa wibracja. Znowu krązę dookoła, mija trochę czasu, już nieco mniej, i wiem – to jest „t”. Potem „e”, „d” i „y” i już mam to całe „Wtedy”. Czy potraficie sobie wyobrazić, co czuje niewidomy, kiedy odczytuje takie tylko niby zwyczajne literki i złożone z nich słowo?

Właśnie, jakież to ważne! Jedno, najbardziej zwyczajniutkie słowo, a zza jego graficznej reprezentacji wychyla się coś niesamowicie poważnego. Jak się okazuje, w tym jednym słowie mieści się tyle treści i emocji, że można pomyśleć, że się spotyka WSZYSTKO. W takiej sytuacji łatwo sobie przypomnieć ideę, że w każdym drobiazgu jest całość, tak jak każda całość jest tylko drobiazgiem. W takim ujęciu każde słowo jest wszystkim, a wszystko można sprowadzić do jednego z nich. Przypomina się biblijny zapis, imię Boga, którego chyba nigdy będąc tutaj do końca nie zrozumiemy – „JESTEM, KTÓRY JESTEM”. To „JESTEM” to także tylko sześć liter, a ile sensu i znaczenia!

Zdaję sobie sprawę, że to pewnie nadużycie, jakby nie stosowne wykorzystanie filozoficznych skojarzeń. Proszę wybaczyć. Wcale się nie obrażę, kiedy ktoś mi zarzuci, że przesadzam. Jest to tylko dosyć nieudolna i raczej amatorska próba poszukiwań sensu, jednak za nią obstać. Trzymam się tego skrawka filozofii, ponieważ jest zbudowany z ważnych dla mnie myśli. Jako taki nie pozostawia wątpliwości, że zasługuje na szacunek.

Odczytałem to „Wtedy” i przyszły mi na myśl właśnie takie refleksje. Nie zakończyło się na nich. Chwilę później pomyślałem bowiem o życiu bez obrazów, czyli takim, które wiodą ludzi niewidzących, przecież właśnie to jest głównym tematem moich „filantropowych” felietonów. Co prawda, zrehabilitowani niewidomi nie narzekają. Mamy się nieźle, ale to nie oznacza, że niczego nam nie brakuje. Otóż brakuje, czasami bardzo. Chcielibyśmy widzieć obrazy i móc się nimi cieszyć. To, że nie narzekamy, jest dobrze odrobioną lekcją rehabilitacji. Kiedy jednak nie musimy się obawiać, że wpadniemy w jakąś depresję, możemy pomyśleć bardziej odważnie, otwarcie i szerszej. Utraciłmy dużą część świata i żadne szkolenia tego nie zmienią. Nie da się tego zakłamać. Nie mamy obrazów i tyle. Ja, jako kiedyś widzący, mogę je mieć przynajmniej w wyobraźni i śnić, a ci, którzy nie widzieli nigdy – co mogą powiedzieć, czym się pocieszyć?

Najpierw „Wtedy”, a potem wiele następnych słów

z książki, i zastanowiłem się nad zgrubnością niewidomego doświadczenia. Czy nie jest tak, że kiedy ludzie widzący oglądają obrazy z ich wielością, różnorodnością, niebывалым bogactwem szczegółów co do barw i kształtów, nie dochodzi do rozwoju adekwatnie złożonej psychiki, umysłowości i duchowości? Czy kiedy ogląda się przebogatą paletę barw kwitnącego, wiosennego ogrodu albo jesienne, jeszcze nie zasypiającego na zimę lasu i kiedy dzięki wzrokowi odbiera się niesamowitą otaczającą przyrodę, nie towarzyszy temu cudowny rozwój własnego „JA”, za którym idzie postęp w każdym elemencie dostępnych zdolności? Jako pełnosprawni patrzymy od dziecka i korzystamy z tej możliwości na co dzień. Stajemy się inteligentni, wrażliwi, uduchowieni. Z każdym dniem oraz każdym najdrobniejszym doświadczeniem rozumiemy coraz więcej. Czy mogą na to liczyć ludzie niewidzący, zwłaszcza niewidzący od urodzenia? A jeśli już, czy w takim stopniu jak widzący?

Oglądając dektajlowe obrazy liter wydrukowanych w książce pomyślałem, że brakuje mi prawdziwych obrazów. Ba, obok tekstu, który „wymacywałem”, były zdjęcia. Kamerka może przejeżdżać po ich powierzchni dowolnie długo, a i tak nic z tego nie wyniknie. Na dektajlu szpileczki oszaleją, będą wibrowały i bzyczały jakby zwariowały, a przecież kształtu i kolorów przedstawionych na zdjęciach nie pokażą. Całe szczęście, że Optacon radzi sobie z literami i słowami, kolorowe obrazy przedstawia jednak tylko jako beużyteczny szum. Szkoda. Czy my, niewidzący, po utracie obrazów jesteśmy skazani na stopniowe ubożenie naszego „JA”? Jak się przed tym obronić?

Zanim odpowiem na to trudne pytanie, przedstawię kolejny fascynujący przyrząd, który pomaga niewidomym oglądać świat. Chodzi o tak zwany brajlowski monitor graficzny, stworzony i wyprodukowany w japońskiej firmie KGS, a mianowicie o DV2. Tak naprawdę nie jest brajlowskim monitorem, a tylko się tak nazywa. Nie ma nic wspólnego z alfabetem Ludwika Braille’a. Prawdziwe urządzenie



FOT. ARCHIWUM WTZ „WSPÓLNA DROGA”



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Rzeczywistość pozbawiona szczegółów



DV2 nie potrafi pokazać całego komputerowego ekranu, dektajl jest bowiem mały i zamontowano w nim zbyt mało szpileczek. Gdyby chcieć zastosować ich tyle samo co pikseli na ekranie, urządzenie byłoby ogromne i bardzo drogie. Tę wadę niwelują możliwości oprogramowania, które pozwala wykorzystywać urządzenie w taki sposób, jak optyczną

lupę. Przesuwamy oglądany obszar jakbyśmy przemieszczali lupę po ekranie monitora. Niedowidzący mają tak zawsze. Widząc bardzo słabo, muszą korzystać z lupy. Bez niej widzą obrazy jedynie z grubsza. Bardziej szczegółowo widzą tylko to, co może się zmieścić w obrębie powiększającego szkła. Właśnie tak jest również w przypadku DV2. Tak jak można mieć lupy o różnych ogniskowych, powiększających więcej lub mniej, oprogramowanie pozwala oglądać ekran utożsamiając szpileczki z pojedynczymi pikselami, albo zmniejszyć powiększenie i oglądać większą część ekranu, tyle że bardziej zgrubnie. Nawet jednak przy najbardziej szczegółowym ustawieniu nie da się oglądać bogactwa kolorów. Możemy jedynie marzyć o odcieniach i bardziej urozmaiconych kształtach.

Nakazuje mi to powrót do pytania postawionego kilka akapitów wyżej. Jak się więc obronić przed konsekwencjami braku dostępu do urozmaiconych obrazów i pełnego wachlarza informacji, tak łatwo docierających do innych osób? Na szczęście mamy swoje sposoby. Pomagają nam rozmaite urządze-

nia, zasługujące na to określenie, polegają przecież na odczytywaniu znaków zwykłego alfabetu i zamienianiu ich na brajlowskie odpowiedniki wśród 64 kombinacji wypukłych punktów. To wszystko zgodnie z „szyfrem” Braille’a. DV2 nic takiego nie robi. Jego działanie jest raczej podobne do działania Optaconu. W przypadku DV2 dochodzi do wypuklenia obrazów wyświetlonych na ekranie komputerowego monitora, a nie wydrukowanych na kartkach książki. Nawet specjalna optaconowa kamera, służąca do oglądania ekranu nie zasypuje różnic pomiędzy tymi urządzeniami. W przypadku DV2 nie ma kamierki. Zastępuje ją kabel łączący urządzenie z portem USB komputera. Uruchamiamy specjalne oprogramowanie i „podglądamy” to, co widzą widzący. Jak to się dzieje?

O ile w Optaconie mamy 6 kolumn cieniutkich szpileczek, ułożonych w 24 rzędach, unoszących się i wibrujących, kiedy odpowiadający im światłoczuły element „patrzy” na ciemny punkt, szpi-

leczki w DV2 w prostokątnym dektajlu nie są tak bardzo cienkie i przypominają szpileczki stosowane w tekstowych, brajlowskich monitorach. Nie wibrują, ale tak jak tamte unoszą się, kiedy odpowiadają ciemniejszym punktom na ekranie. Inne pozostają w spoczynku i są ukryte wewnątrz obudowy DV2. Te, które się wychylają, trwają tak aż do zmiany obrazu. Na dektajlu DV2 powstają wypukłe kształty wyświetlanej grafiki. Gdyby to był windowsowski pulpit, możemy sprawdzić jak wyglądają podpisy głównych ikon: „Mój komputer”, „Kosz”, „Internet Explorer” itd.

Co prawda, oprogramowanie DV2 umożliwia zmianę licznych parametrów działania urządzenia, normalnie jednak szpileczki w dektajlu odpowiadają poszczególnym pikselom. O ile obraz pulpitu może nie wywoływać zachwyty, możliwość dotykowego oglądania dowolnych obrazów na pewno zachwyci. Zdołałem na nim obejrzeć jakieś mapy, wykresy, wyrażenia matematyczne, tabelki, no i liczne kroje druku. Nawet nie zdawałem sobie sprawy z ich bogactwa.

nia niwelujące skutki niepełnosprawności wzroku, między innymi Optacony i DV2, ale innych jest całe mnóstwo. Wszystkie wykorzystują nowoczesną mechanikę, elektronikę i informatykę. Niestety to jeszcze za mało. Dzięki nim udaje się nam zastępować wzrok innymi zmysłami. Nie mogąc odbierać uroków obrazów, na co dzień cieszymy się bogatą paletą dźwięków. Dodajemy do nich bodźce dotykowe i smakowe oraz zapachy. Tam jeden rodzaj bodźców, tu aż trzy, można więc pomyśleć, że niczego nam nie brakuje. Ba, gdyby to było takie proste. Kiedy dzięki wzrokowi pozyskuje się co najmniej 90% informacji, liczba 3 nie wystarczy. Upośledzenie wzrokowe jest zbyt głębokie, by tak łatwo dało się zniwelować. Czy zatem jako niewidomi żyjemy zgrubnie i prościej niż inni? Niewykluczone. Może tylko jednostki są w stanie zniwelować skutki swojej niepełnosprawności w wystarczającym stopniu? Może mają takie szanse niewidomi, którzy kiedyś widzieli, podczas gdy niewidzący od urodzenia są w trudniejszej sytuacji, żeby nie rzec na straconej pozycji?

Kiedy idę spać, śnię. Mam przed oczami obrazy, które w życiu na jawie gdzieś hen mi uciekły. We śnie jednak są i mnie cieszą. Owszem, dosyć niekolorowe i rozmyte, ale są. Kiedy się skupię, wyraźniej widzę barwy i twarze bliskich osób. Co ciekawe, widzę zarówno twarze osób, które zdążyłem kiedyś zobaczyć, jak i inne, których nigdy nie widziałem. W przypadku tych drugich, widzę twarze zgodnie z podpowiedzią wyobraźni. Pewnie są nieprawidłowe, ale mi się zgadzają. Wizerunki wynikają z ich głosów, zachowań, reakcji na różne sytuacje. Przy każdym spotkaniu uczymy się tego, a podczas snu nasz umysł z tego korzysta. Szkoda, że to tylko namiastka obrazów, które chcielibyśmy oglądać. Czy tak samo ubogie jest nasze myślenie i rozumienie świata? Pocieszamy się, że jednak nie, ale czy na pewno? Kiedy zdarzają się sytuacje, w których czuję się zagubiony, zastanawiam się, czy nie dotykałam właśnie konsekwencji odmienności życia ludzi, którzy nie widzą, albo szerzej – wszystkich ludzi niepełnosprawnych.

Pszczołom na ratunek

Kwiecień to czas pracy w ogrodzie. Uczestnicy Warsztatu Terapii Zajęciowej w Dusznikach zajęli się przygotowaniem ziemi pod siewy, pieleniem zielska i sianiem. A dzięki gminnej akcji „Dbajmy o pszczoły i inne pożyteczne owady – zasiej łąkę miododajną”, można było pokusić się o stworzenie kwiatowej grządki. W ostatnich la-

tach pszczoły miodne masowo wymierają. To, co my możemy dla nich zrobić, to zapewnić im pokarm i miejsce do życia. Dlatego w ogródku przywarsztatowym powstaje miododajna łąka, która już wkrótce zachwyci różnorodnością barw, kształtów i zapachów. Teraz pozostaje czekać na piękny, kwiatowy efekt. NA



Moje życie i praca w czasie pandemii

Podczas mojego zamknięcia w domu z powodu koronawirusa oraz zamknięcia ŚDS „Iskra” robiłem od niej krzyżówki albo wykreślanki. Trzeba było tam wykreślić litery poziomo, na przykład litery słowa „Mierzyn”. Robiłem też zadania z matematyki.

Robiłem zadania od pana



Wojtka i kolorowałem parasol na plaży i pisałem o zachowaniu na przyjęciu, że trzeba mieć kulturę, a teraz różnie z tym bywa. Kolorowałem zadania od pani Marysi, na przykład kolorowałem kwiaty, papugę i rysowałem żabę. Narysowałem też jaszczurkę. Robiłem zadania od pana Tomka i narysowałem lampę. Robiłem zadania od pana Marcina od muzyki i rysowałem instrumenty, na przykład kastaniety, tamburyn, trójkąt i saksofon.

Potem robiłem zadania od pana Macieja rehabilitanta i robiłem gimnastykę, na przykład skłony, dziesięć pajacyków, leżenie na plecach i każde ćwiczenie od pana Macieja było inne i bardzo lubię ćwiczenia od pana Macieja. Rozciągałem plecy i ruszałem rękami w lewo i prawo.

Robiłem zadania od pani Dominiki, na przykład kulinarne i wymieniałem, jakie przyprawy mamy w domu i



co robiliśmy w kuchni u pani Dominiki. I robiłem krzyżówkę owocową i wpisywałem zadania i bardzo lubię zadania od pani Dominiki.

Chciałbym już wrócić do normalnej pracy pomimo fajnych zadań w domu.

RYSZARD OUDINET
UCZESTNIK ŚDS „ISKRA” W POZNANIU





Lisek Ibisek pomoże dzieciom zrozumieć świat

27 marca podopieczni i wolontariusze Fundacji PODAJ DALEJ nagrywali słuchowisko „Lisek Ibisek i przyjaciele”. To zapewne nie przypadek, że prace nad nim rozpoczęły się w Międzynarodowym Dniu Teatru. Słuchowisko współtworzą najmłodszy podopieczni oraz wolontariusze Fundacji im. Doktora Piotra Janaszka PODAJ DALEJ.

– Słuchowisko jest szczególnym rodzajem teatru. Nie ma tu możliwości zagrania ciałem, gestem czy mimiką. Aktorzy budują postać i nadają jej charakter wykorzystując jedynie swój głos – podkreśla Anna Rosiak-Walczak, pedagog Fundacji i autorka serii 12 opowiadań o przygodach Liska Ibiska. – Nagrania poprzedziliśmy warsztatami teatralnymi, podczas których uczestnicy pracowali nad modulacją głosu, oddechem oraz interpretacją tekstu.

CISZA, NAGRANIE!

Każdy z bohaterów po wejściu do studia wziął kilka głębokich oddechów, odbył krótką próbę i ruszył do dzieła. Dźwięk rejestrował Mateusz Krzesiński, który

również zmontuje materiał i wzbogaci go o efekty dźwiękowe. Można było zauważyć, jak po włączeniu mikrofonów stres mijał, a całość nagrania odbywała się bardzo płynnie. Wszyscy wykazali się dużym zaangażowaniem i solidnym przygotowaniem. Po zakończeniu danego nagrania lektorzy odsłuchiwali swoje kwestie i nie da się ukryć, że to, co słyszeli, robiło duże wrażenie.

Opowiadania o Lisku Ibisku to zbiór przygód liska mówiącego ludzkim głosem i żyjącego wśród ludzi. Pozostali bohaterowie to dzieci, które przeżyły historie wraz z liskiem. Opowiadają o problemach, które mogą spotkać każdego. Stres, lęk czy niepełnosprawność to tematy ważne do poruszenia wśród najmłodszych.

W jednym z opowiadań występuje Alicja – dziewczynka, która kocha naturę. W tę rolę wcieliła się Jagienka Karczyńska – podopieczna i wolontariuszka Fundacji PODAJ DALEJ.

– Lubię rozmawiać ze zwierzętami. O naturę dbam każdego dnia! Segreguję śmieci, oszczędzam wodę i prąd. – mówi Jagienka.

NA LISKA TRZEBA JESZCZE CHWILĘ POCZekać

– Za kilka tygodni słuchowisko wraz z opowiadaniem do czytania i ze scenariuszami lekcji trafi do szkół i przedszkoli w całej Polsce. Do książeczki piękne ilustracje wykonała Aniela Gach. Materiały będzie można wykorzystać w klasie lub na zajęciach zdalnych podczas pandemii. Wierzę, że będzie to świetna inspiracja dla wychowawców i pedagogów. To kolejny ważny materiał, który udostępnimy do bezpłatnego pobrania na stronie Fundacji PODAJ DALEJ. – podkreśla Zuzanna Janaszek-Maciaszek, prezes Fundacji. – Słuchowisko współtworzą nasi najmłodszy podopieczni oraz wolontariusze. Chcemy pokazać, jak wiele mają do zaoferowania, jak bardzo są wrażliwi i utalentowani, a jednocześnie gotowi, aby robić coś dla innych.

Wszystkie działania realizowane są dzięki ING Bankowi Śląskiemu, który współfinansuje projekt. Drugą część nagrań odbyła się 17 kwietnia. Fundacja miała wiele pracy by „Lisek Ibisek” mógł trafić do czytelników i słuchaczy. Warto było czekać! **NA**



Julka na kółkach, czyli sposób na wszystko. Rysunek Anieli Gach.



FOT. (10X) ARCHIWUM FUNDACJI „PODAJ DALEJ”.

Dzieci się gubią

Wielu z nas z przerażeniem wysłuchuje kolejnej informacji o zagubionym dziecku, o wielogodzinnych czy wielodniowych jego poszukiwaniach. Nieraz dziecko się w końcu znajduje i przyjmujemy to z ulgą, niekiedy ślad po nim ginie.

W naszym kraju zagubionych jest rocznie około 160 małych dzieci. Z tej liczby około jedna czwarta to dzieci uprowadzone, natomiast pozostałe gubią się wskutek braku rodzicielskiego nadzoru.

Zazwyczaj scenariusz zagubienia się dziecka jest taki: matka jest zajęta czymś innym, a dziecko pozostawione same sobie. Jedna z matek zabawiła się w towarzystwie w restauracji, a córeczka zbierała w parku kasztany. Inna matka zajęta była przy kuchni, a dziewczynka bawiła się przed domem. Z kolei synkowi matka poleciła poczekanie na nią przed sklepem. Albo też kilkoro dzieci bawi się w gromadzie, a w pobliżu nie ma dorosłej osoby.

Gdy dziecko zaginie, matki rozpaczają. One naprawdę kochają swoje dzieci, odczuwają wielki ból i lęk, oddałyby wszystko, aby dziecko się odnalazło. Poza przerażeniem na myśl co mogło się dziecku przytrafić, mają poczucie winy, są też często oskarżane o bezmyślność przez mężów czy inne osoby. Aż trudno so-

bie wyobrazić, co przeżywają rodzice w chwilach oczekiwania na odnalezienie dziecka. A przecież nie każde zostanie odnalezione.

Najczęstszą przyczyną tych tragedii jest brak wyobraźni osoby dorosłej. Zajęta innymi sprawami nie myśli o tym, że małe dziecko pozostawione samo sobie jest narażone na wiele niebezpieczeństw. Pomijając obiektywne niebezpieczeństwa, takie, jakie łączą się z ostrymi narzędziami, pojazdami, rzeką czy jeziorem – niebezpieczeństwo tkwi także w samej psychice dziecka. Jest nim jego ciekawość świata, jego zauroczenie tym co barwne i ruchliwe, jego przekonanie o swoim sprycie i umiejętnościach, a nieraz także ufnosć w stosunku do ludzi. Te dobre przecież właściwości dziecka mogą stać się powodem nieszczęścia, jeżeli nikt nad dzieckiem nie czuwa.

Bowiem kasztany są naprawdę piękne, każdy jest trochę inny, a jesienne liście tak śmiesznie szurają pod stopami. Jest więc przyjemnie iść w parku przed siebie, a za parkiem jest ulica, z jej kolorytem i szumem przejeżdżających samochodów, z dzwonieniem tramwajów i światłami na zakrętach. Jeżeli dziecko nie jest lękliwe, to czy taka wędrówka nie jest fascynująca?

Czekanie na mamę przed

sklepem może być nudne. A obok jest inny sklep, z kolorową wystawą, a może jeszcze trochę dalej będzie coś dla dzieci? Może zabawki? Albo słodczyce? Przecież zanim mama wyjdzie, ja wrócę na miejsce...

Przed kilkoma tygodniami na śródmiejskiej ulicy zobaczyłam rozglądające się wokół dziecko. „Czy czekasz na kogoś?” – zapytałam. Chłopiec spokojnie odpowiedział, że na mamę. „To może zaczekamy razem?” Zgodził się. W czasie rozmowy powiedział, że musiała właśnie kogoś spotkała i rozmawiała, a on chciał tylko zobaczyć „ten pomnik” i kawałek odszedł. Już po chwili mama go znalazła, chwyciła za ramię i zaczęła tłuc torbę po głowie. A do mnie powiedziała, żebym się nie wtrącała do cudzych dzieci.

A jednak należy się wtrącać. Zawsze, gdy widzimy dziecko idące albo stojące samo, należy do niego podejść. Być może uda się nam uchronić je przed lękiem, a nieraz może i przed nieszczęściem. Chłopczyk, który chciał obejrzeć pomnik, nie wymagał uspokojenia ani pomocy. Był bowiem najzupełniej spokojny i ufny, że mama go odnajdzie. To jego matką należałoby się zająć, czego jednak nie uczyniłam.

IRENA OBUCHOWSKA

Z KSIĄŻKI „KOCHAĆ I ROZUMIEĆ” CZ. III

Dziesięć wywiadów z osobami z niepełnosprawnością intelektualną złożyło się na projekt Stowarzyszenia „Iskra” w Poznaniu pod nazwą „Mój punkt widzenia”. Jest to swoisty dokument filmowy, współfinansowany w ramach programu Wojewody Wielkopolskiego w obszarze wsparcia osób niepełnosprawnych w roku 2020. Obszerny fotoreportaż i tekst na temat tej inicjatywy opublikowaliśmy w styczniowym wydaniu „Filantropa” na stronach 22 i 23. Tak pisze w tej publikacji autorka Karolina Kasprzak: „Projekt miał na celu przybliżenie społeczeństwu świata myśli, przeżyć i doświadczeń osób z niepełnosprawnością intelektualną”.

Wspomniane wywiady filmowe mogą być równie poruszające w wersji tekstowej. Urzekają swoim autentyzmem. Niech zaświadczy o tym jeden z nich:

WYWIAD Z ALICJĄ KANIKOWSKĄ

Terapeutka Maria Dolata: – Dzień dobry Alicjo! Może najpierw się nam przedstawiś, powiedz coś nam o sobie?

Alicja Kanikowska: – Ja o sobie? Gram na gitarze... w pokoju... nazywam się Alicja Kanikowska, mieszkam w Polsce. Wychowałam się z mamą... tata na Hetmańskiej się wychował... jak był dzieckiem to miał fajnie... no i takie miłości do mamy miał, kochają się nawet. Gram na gitarze w pokoju i robię porządki... tata lubi porządki... mama tylko leży i pachnie.

MD.: – Jesteś szczęśliwą osobą?

AK.: – No tak... od ucha do ucha. Ale pytań?!

MD.: – Alicja, masz chłopaka?

AK.: – No ja mam, ma na imię Grzegorz.

MD.: – A jaki jest twój idealny partner?

AK.: – Mój partner? Hm... to jest ciekawe...mój partner...



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Jesteś szczęśliwą osobą?

MD.: – Jaki jest twój ideał?

AK.: – Poprosić o rękę musi... mamę i tatę... o mnie, o córkę ich...

MD.: – Czyli szarmancki musi być?

AK.: – No szarmancki musi być... mamie musi dać różę... dla taty szampana... a mi pierścionek zaręczynowy z brylantem. Musi być dobrze wychowany, kochany, z pieniędzmi.

MD.: – A tak z wyglądu jaki musi być?

AK.: – Przystojny jak nasz pan Marcin Kaczyński hihi...

MD.: – Czyli pan Marcin jest twoim ideałem?

AK.: – No jest... szkoda, że żonaty jest...

MD.: – To już chyba stracony jest?

AK.: – Stracony jest...

MD.: – A powiedz mi, co jest ważniejsze, wygląd czy charakter?

AK.: – WYGLĄD... NO WYGLĄD!!!

MD.: – Czyli jakby był przystojny, piękny, ale niezbyt fajny to lepiej?

AK.: – Lepiej... no tak... musi być przystojny, wysoki albo niski, dobrze zbudowany tak jak tata, blondyn, oczy niebieskie jak niebo!!!

MD.: – Najważniejsze Alijo, że masz jasno sprecyzowane poglądy na ten temat... Dziękuję ci bardzo...

AK.: – No mam. Dziękuję.



FOT. (2X) MARCIN KACZYŃSKI



Arteterapia

Fundacja imienia Doktora Piotra Janaszka PODAJ DALEJ w Koninie zakończyła właśnie realizację projektu pod nazwą „Arteterapia drogą do twórczej integracji V”. Projekt ten można porównać do podróży pociągiem: dokładnie 14 sierpnia 2020 roku wsiedliśmy do niego na stacji początkowej o nazwie zabawoterapia.

Był to pierwszy z warsztatów, a potem czekało nas jeszcze 16 warsztatowych przystanków. Każdy z nich był inny, niezwykły, pełen uśmiechu, przyjaznej atmosfery i prowadzony przez najlepszych specjalistów arteterapii, którzy chętnie dzielili się swoją wiedzą i doświadczeniem. W przystępny sposób opowiadali i pokazywali, jak wykorzystać dziedziny arteterapii w pracy z osobami z niepełnosprawnościami, a uczestniczący w warsztatach terapeuci, instruktorzy, asystenci i wolontariusze mogli od razu po warsztatach przeciwżyć nowe formy zajęć ze swoimi podopiecznymi.

Oto co mówili uczestnicy poszczególnych warsztatów:

– Rewelacyjny, merytoryczny warsztat! Otwarli ludzie, prowadzący z przeogromnym

doświadczeniem i atmosferą, którą pamięta się długo! – Agnieszka, warsztat teatr żywego aktora.

Super warsztaty!

– Kreatywnie, intensywnie, świetny dobór prowadzących oraz metod pracy. Inspirująco!

– Joanna, warsztat zabawoterapii.

– Cudowne warsztaty pełne twórczych myśli, pomysłów, z bardzo świeżym i otwartym podejściem do arteterapii. – Małgorzata, warsztat plastykoterapii.

– Super prowadząca i ekstra zespół – nic więcej do wspólnej pracy nie potrzeba. – Emilia, warsztat skulpturoterapii.

Arteterapeutyczny pociąg przejechał przez takie stacje jak choreoterapia, muzykoterapia, plastykoterapia, teatroterapia, biblioterapia, komunikacja i budowanie relacji czy przeciwdziałanie wypaleniu zawodowemu. Realizacja projektu przypadła na dość wymagający czas trwania pandemii, dlatego podjęliśmy także zupełnie nowe wyzwanie w postaci realizacji dwóch warsztatów całkowicie zdalnych i nasz pociąg „odwiedził” również dwie stacje pod nazwą „Oswoić online –



dotarła do mety

twórczy kontakt zdalny z podopiecznymi”.

Osobom, które z różnych powodów nie mogły pojawić się na naszych warsztatach, a bardzo chciały choćby podejrzeć, jak one wyglądają, zaproponowaliśmy „podglądanie przez dziurkę od klucza” – za pośrednictwem zamkniętej grupy na Facebook’u można było przez godzinę podglądać zajęcia w ramach teatroterapii, muzykoterapii oraz skulpturoterapii.

W dniach 19 – 21 marca dotarliśmy na ostatni przystanek. Stacją końcową był warsztat skulpturoterapii, który piękną, glinianą kłamrą zamknął cały cykl warsztatów.

Ta nieprawdopodobna podróż trwała 8 miesięcy, do arte-pociągu wsiadło łącznie 203 terapeutów, instruktorów oraz asystentów z całej Polski, którzy wraz z fantastycznymi prowadzącymi zwiedzili niezwykle rejony arteterapii, wymienili się doświadczeniami i nawiązali cenne relacje, które trwają do dziś. Nie sposób nie wspomnieć także o niezastąpionych wolontariuszach Fundacji PODAJ DALEJ, którzy byli obecni podczas każdego z warsztatów i czuwali nad jego przebiegiem, dbali o uczestników z niepełnosprawnościami, pomagając im podczas zajęć i korzystali jednocześnie z możliwości pogłębienia swej wiedzy z zakresu arteterapii.

Fundacja im. Doktora Piotra Janaszka PODAJ DALEJ realizuje warsztaty arteterapeutyczne od 2011 roku i przeszkoliła już ponad 1000 terapeutów, instruktorów, asystentów i wolontariuszy pracujących na co dzień z osobami z niepełnosprawnościami.

Po całej arte-podróży pozostało mnóstwo zdjęć, przepięknych wspomnień, pomysłów na kreatywne, angażujące zajęcia dla osób z niepełnosprawnościami i co najważniejsze: pięknych relacji międzyludzkich. Jesteśmy w nieustającym kontakcie z uczestnikami warsztatów, otrzymujemy od nich cudowne, wzruszające podziękowania czy życzenia świąteczne, a nawet ręcznie wykonane prace, przeznaczone na licytację, z których dochód wspiera budowę Osady Janaszkowo – wspa-

niałego miejsca dla osób z niepełnosprawnościami. Wierzymy, że ta podróż będzie miała swój ciąg dalszy i lada moment spotkamy się w nowym pociągu pędzącym przez kolejne stacje arteterapii.

– Pomimo mojego zamknięcia mogłam się bezpiecznie i bez presji otworzyć. Dziękuję za wyrozumiałość, akceptację i nowe doświadczenia! Do zobaczenia w Koninie! – Katarzyna, warsztat muzykoterapii.

A zatem do zobaczenia!

Projekt „Arteterapia drogą do twórczej integracji V” jest współfinansowany ze środków PFRON oraz 1%.

ALEKSANDRA KUBIAK



FOT. (6X) ARCHIWUM FUNDACJI „PODAJ DALEJ”

Doznałem urazu

Osób z niepełnosprawnością ruchową występuje zwiększone ryzyko upadków i urazów. Doświadczyłem tego osobiście. Od listopada 2020 roku regularnie chodzę od 5 do 10 kilometrów pieszo wśród pól i łąk, z dala od ludzi z uwagi na panującą pandemię. Spaceruję – jak wspominałem w jednym z moich artykułów – z kijkami Nordic Walking. Daje mi to poczucie spełnienia, a przede wszystkim pozwala dbać o kondycję fizyczną.

2 kwietnia tego roku, podczas wykonywania prac porządkowych w domu, a także między innymi przenoszenia butli z gazem, doznałem urazu kostki w lewej nodze. Noga jest bardzo osłabiona z uwagi na mózgowo-porażenie dziecięce. Kostka nadal mnie boli i utrudnia poruszanie. W domu mam krzesło biurowe na kółkach i przemieszczam się na nim, dzięki czemu oszczędzam tę nogę. Jeżeli gdzieś wychodzę, używam kuli. Pomaga mi też mama. Sytuacja ta nauczyła mnie pokory wobec samego siebie. Wcześniej bez przeszkód pokonywałem kolejne kilometry, a teraz mam problem ze zrobieniem zaledwie paru kroków.

Na szczęście w domu nie mamy żadnych progów, a drzwi są odpowiednio szerokie, więc bez przeszkód mogę wejść na tym krześle z pokoju do kuchni i łazienki. W łazience stoi specjalne krzesło i są uchwyty, abym mógł skorzystać z prysznicza. Na każdą czynność potrzebuję teraz o wiele więcej czasu niż wcześniej. Mam nadzieję, że za kilka tygodni kostka przestanie boleć i będę mógł chodzić swobodnie bez kuli oraz bez pomocy mamy. Na razie wykonuję codziennie ćwiczenia usprawniające na materacu, robię okłady i smaruję kostkę maścią, co przynosi ulgę w bólu. Na siedząco wykonuję prace – obieranie jabłek, ziemniaków, przygotowywanie zastawy na obiad. Podziwiam osoby poruszające się na wózkach, które mieszkają samodzielnie. Wymaga to samozaparcia i intensywnej pracy nad sobą. Dopiero, gdy doznałem urazu, zrozumiałem tak naprawdę, jak duże znaczenie ma dla osoby z niepełnosprawnością ruchową likwidacja barier architektonicznych.

KRYSTIAN CHOLEWA

Strażak ratuje życie

Zawód strażaka to trudna i Zwyjątkowo odpowiedzialna misja. Strażacy wzywani są nie tylko do pożarów, lecz również do wypadków drogowych, zalania mieszkań lub większych powodzi, na przykład na taką skalę, jak powódź w Polsce w 1997 roku. O ich bezpieczeństwo i życie drżą ich najbliżsi, ponieważ praca ta niesie za sobą duże ryzyko. Strażacy narażają się, aby ocalić życie innych.

Moje zainteresowanie zawodem strażaka i strażą pożarną rozpoczęło się w okresie dzieciństwa. W sobotni wieczór zawsze oglądałem bajkę pt. „Strażak Sam”. Wielu przydatnych rzeczy dowiedziałem się z niej o zawodzie strażaka. W szkole średniej na lekcji

przypodobienia obronnego nauczyciel interesująco opowiadał o sposobach niesienia pomocy ludziom w sytuacjach kryzysowych i metodach radzenia sobie w różnych takich właśnie sytuacjach. Powiedział również, że uczniowie, którzy zgłoszą się na wolontariuszy do miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej, będą mieli podwyższoną ocenę z tego przedmiotu na zakończenie roku szkolnego, poprzez rozwiązanie testu z umiejętności praktycznych. Postanowiłem skorzystać z tej szansy i zdałem ten test z maksymalną liczbą punktów!

Kilka lat później pojawiła się okazja uczestnictwa w zawodach sportowo-pożarniczych. Moje zadanie polegało na

przekazywaniu instrukcji strażakom, co mają wykonywać w danym momencie. Innej roli podczas zawodów nie mogłem pełnić, gdyż nie pozwalała na to moja niepełnosprawność ruchowa. Takie zawody mają na celu sprawdzenie umiejętności wykorzystywanych podczas akcji ratunkowych.

4 maja każdego roku obchodzimy dzień strażaka. Wszelkim strażakom z okazji ich święta chciałbym życzyć udanych wyjazdów i powrotów z akcji. Dbałość o bezpieczeństwo oraz ochrona życia ludzi nie byłaby możliwa bez straży pożarnej i zaangażowania strażaków, którzy często pracują od świtu do nocy.

KRYSTIAN CHOLEWA

Papierosy do kosza

Oszkodliwym wpływie palenia papierosów na zdrowie słyszał niemal każdy. Niewielu Polaków bierze sobie do serca alarmujące słowa lekarzy, że palenie powoduje raka, choroby serca i skracca życie. Osoby uzależnione od nikotyny cierpią także na nadciśnienie, wrzody żołądka i dwunastnicy, gdyż nikotyna pobudza nadmiernie do pracy układ trawienny oraz zwiększa produkcję soków żołądkowych.

Po papierosa sięgają często ludzie młodzi, aby zaimponować znajomym. Kiedy uczęszczałem do szkoły średniej, prawie wszyscy moi znajomi z klasy na przerwach palili papierosy. Bardzo ciągnęło mnie wtedy do palenia. Kilka razy „zaciągna-

łem się” fajką, którą pożyczyłem od kolegi. Pojawiły się problemy żołądkowe, które zniechęciły mnie do palenia. Stwierdziłem, że zdrowie jest zbyt cennym darem, aby je marnować. Dym tytoniowy niszczy płuca będące ważnym organem. Po papierosy coraz częściej sięgają nie tylko osoby młode, ale też kobiety w ciąży. Nie trudno się domyślić jak wysoce szkodliwy wpływ ma palenie na rozwój płodu. Według danych, aż 50% zachorowań na raka dróg moczowych wiąże się ze skutkami palenia.

Argumentem przemawiającym za zerwaniem z uzależnieniem od nikotyny jest również sytuacja finansowa. Papierosy kosztują, a wypalanie kilku paczek dziennie rujnuje nasz budżet, co może okazać się po-

ważnym problemem zwłaszcza teraz, w dobie pandemii i wzrostu cen towarów oraz usług. Kolejnym argumentem przemawiającym za rzuceniem palenia są względy estetyczne – dym papierosowy przenika na ubrania, ręce, włosy. Również skóra twarzy się niszczy z powodu palenia papierosów.

Niekiedy osoby, które nabyły w ciągu życia niepełnosprawność i uczą się z nią żyć, sięgają po papierosy. Daje im to złudne poczucie odstresowania się. W zerwaniu z tym nałogiem bez wątpienia pomaga silna wola i konsultacje ze specjalistą, który doradzi, co robić i jakie preparaty zażywać, aby zmniejszyć głód nikotynowy.

KRYSTIAN CHOLEWA



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Codziennie pod górę⁽²¹⁾

Czasem zapominam o swojej schizofrenicznej chorobie i o tym, że jestem niepijącą alkoholiką. Trochę trudniej zapamiętać, że coraz słabiej widzę z powodu moich chorób oczu, ale dni, mimo to, wydają się ostatnio takie zwyczajne i spokojne. Tegoroczne święta wielkanocne były pogodne i trochę inne niż zawsze. Zazwyczaj jeździł się do rodziców Marka. Moja mama, jak wspominałam, nie żyje od 23 lat, a ojciec...nie wiem, co się z nim dzieje. Ma teraz 77 lat. Ostatnio myślałam, że może i chciałabym go zobaczyć, bo cały czas jest dla mnie jakąś nierealną istotą, którą znam tylko z opowiadań. Nie mam jednak na to odwagi.

Co miałabym ojcu powiedzieć? Co usłyszałabym od niego? Jego wersję rozstania z mamą? Zawsze oprócz złości na ojca czułam gniew na kobietę, do której odszedł od nas. Odnalazła mnie przez Internet córka tamtej kobiety, moja przyrodnia siostra. Okazało się, że podobno oszukała jej matkę, że jest wolny. Zaszła z nim w ciążę, ale gdy dowiedziała się, że ma żonę i dziecko, rozstała się z nim. Wtedy ojciec poszukiwał kolejnej kobiety.

Wróć do świąt. W tym roku po raz pierwszy od 20 lat mój bliski kuzyn, z którym dawniej spędzałam ten czas, zaprosił mnie z Markiem na śniadanie wielkanocne. Poczułam się przez chwilę, jak dawniej, gdy razem z moją mamą, babcią i jego rodziną szykowaliśmy się do świąt. To było dla mnie bardzo ważne zaproszenie, z którego jednak nie skorzystałam. Dlaczego? Po pierwsze: chyba dlatego, że jestem prawie pewna, iż Marek nie chciałby ze mną tam jechać. Nie lubi nowych miejsc i ludzi, nie czuje się tam swobodnie. Wiem, a właściwie wierzę, że gdybym poprosiła go, żeby pojechał tam ze mną, zrobiłby to. Może to ja bałam się tego spotkania po latach? Obawiałam się też, może niesłusznie, że Marek i kuzyn nie dogadają się i o coś

pokłóć. Każdy z nich lubi postawić na swoim i nie jest skłonny do uległości. Mają wiele różniących się poglądów.

Przez lata zmuszałam się, żeby jeszcze przed uroczystościami wielkanocnymi czy bożenarodzeniowymi jechać do rodziców Marka, pomagać im w sprzątanii. Byłam wściekła, bo wolałam sprzątać u siebie, a nie u nich, tym bardziej, że mają w domu rodzeństwo Marka, które może się tym zająć. Marek nigdy nie lubił jeździć do nich na święta i wymigiwał się, jak tylko mógł. Kończyło się pretensjami mamy, która często stawiała na swoim. Zawsze w tym czasie wynikała jakaś kłótnia i jak to się mówi „święta były zepsute” i dla niego, i dla mnie. W tym roku też kombinowałam, jak tu ten czas spędzić po prostu w domu i odpocząć. Wtedy powiedziałam: „Kochanie, zaproszę rodziców do nas”. Wreszcie poczułam się dorosła, dumna, że mamy dom, do którego możemy zapraszać i silna, bo już nie czuję się małą dziewczynką, która boi się, że mama Marka skrytykuje mój żurek. Mama Marka ma kłopoty ze zdrowiem, więc upierała się, żebyśmy jak zwykle przyjechali już rano w Wielką Sobotę.

Czułam, że jeśli się zgodzę, będę zła na nią, na Marka, na cały świat, jak zwykle w Święta. Miałam ważną dla mnie, wymianę zdań z Markiem, podczas której powiedziałam: „Skarbie, jakbyśmy w ogóle nie pojechali, mama by była nieszczęśliwa, jak pojedziemy w sobotę – nieszczęśliwa będę ja. Pojedźmy rano w poniedziałek, a wrócimy we wtorek, bo jeszcze mamy wolne”. I tak właśnie było. Nie musiałam u nich sprzątać, a w poniedziałek wzięliśmy do nich ciasto, które upiekł Marek, a ja – udekorowałam. Było spokojnie, nikt z nikim nie zdążył się pokłócić, a ja kocham Marka jeszcze bardziej, o ile jest to w ogóle możliwe.

Święta to dla mnie czas porównań. Ten moment w roku pokazuje, czy coś się w na-

szym życiu zmienia. W moim – na pewno. Czym są poza tym dla mnie święta? Trudny temat, bo zagadnienie wiary i religii budzi w wielu osobach silne emocje, mimo zapewnień o tolerancji. Osobiście uważam, że każdy ma prawo do swojej wiary czy niewiary w Boga, do swojej religii. To jak i czy obchodzi Święta Zmartwychwstania Pańskiego jest jego sprawą. Kiedy słyszę od kogoś, że w ten czas koniecznie trzeba robić to, czy tamto, bo tak nakazuje tradycja, a także opinię: „te święta to totalna bzdura”, już wiem, że trudno mi będzie z takimi osobami rozmawiać. Dlatego zwykle nie opowiadam, czy wierzę, w co wierzę i nie komentuję poglądów innych. Bo po co? Bardzo rzadko można kogoś przekonać w kwestii religii, podobnie jak polityki, ale ludzie chyba lubią udowodniać swoją rację i kłócić się. Czasem myślę, że sztywni orędownicy jakiejś formy wiary są na tyle niepewni swoich poglądów, że jak spotkają się ze zdaniem przeciwnym, ze strachu atakują. Chyba przecież nie wierzą, że przekonają drugą stronę? To, moim zdaniem, byłaby naiwność.

Poglądy religijne czy polityczne są tak powiązane z utrwalonymi silnymi przekonaniami i emocjami, że podlegają zmianie jedynie wtedy, gdy wydarzy się coś, co podważy ich wpojone podstawy, osobiście zawiodą się na swojej religii czy partii. Ale to wszystko są oczywi-

ście moje poglądy, z którymi nikt nie musi się zgadzać, a do których – mam prawo, nawet, gdy się myślę.

Pisałam kiedyś o asertywności – życiu w zgodzie z własnymi poglądami i z poszanowaniem – praw innych. Dla mnie to jedyna droga do spokoju i wspólnego bytowania pomimo różnic. Patrząc czasem na ludzi, jak kłócą się o drobiazgi, a potem, czasem słyszę: „po co ja tak się czepiałam, gdybym wiedziała, że go dziś już nie będzie, starałabym się szczęśliwie spędzić z nim każdą chwilę”. Ja też bynajmniej nie jestem idealna. Choć właściwie nigdy się nie kłócę, to chowam urazę w sobie i to też jest bardzo toksyczne. Nic nie powiem, ale chodzę pełna złości. Dotąd mi się to zdarza, ale już coraz częściej potrafię powiedzieć na spokojnie, co mi przeszkadza, co mnie denerwuje. Nadal się tego uczę.

W tym tygodniu Marek chodzi do pracy. Zazwyczaj czuję lekki niepokój, gdy go nie ma, ale dziś piszę dla Was i jest dobrze. Mam na dziś plan dnia, elastyczny, nie zakładałam, że wszystko się uda. Praca, zakupy, złożenie dokumentów, by wyrobić nowy dowód osobisty, bo kończy się jego termin ważności. Zwykły dzień, który przy jasności umysłu jest dniem szczęśliwym, w którym widzę wszystko, co mam, a nie to, czego nie mam. S.A.



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Teatr, sport, ogródek

Nazywam się Marcin Skwarski, mam 38 lat. Mieszkam w małej miejscowości Objezierze w powiecie obornickim. Jestem uczestnikiem Warsztatu Terapii Zajęciowej w Wiardunkach od 12 lat. Działam w pracowni artystyczno-ogrodniczej. Byłem również w pracowni krawiecko-dziwiarskiej.

Moją pasją jest praca w na-

szym warsztatowym ogródku. Jest to także moje ulubione miejsce spędzania wolnego czasu. Bardzo lubię kosić trawę, ale również sprawnie radzę sobie podczas odchwaszczania ogródka. Jesienią grabię liście, a latem podlewam ogródkowe uprawy. Bardzo cieszą mnie nowo zdobywane umiejętności. Razem z rodzicami spędzamy dużo

czasu na naszej działce, gdzie również mam swoje obowiązki.

W życiu placówki udzielam się również podczas różnego rodzaju przedstawień, w których gram różne role. Uczestniczę też w zawodach sportowych. Również sport jest moją pasją. Często gramy w różne gry i rozwiązujemy zadania. Lubię również wykonywać

prace plastyczne, przy których się relaksuję. Mam tu swoich znajomych od lat, bardzo się cieszę, że mogę tu przyjeżdżać i spędzać z nimi czas. W Warsztacie czas leci szybko. Chciałbym, aby znowu było jak zawsze i żebym mógł znowu codziennie widywać swoich przyjaciół.

MARCIN SKWARSKI
OPRAC. OLIMPIA SZULC



Wiosna nieco spóźniona

W tym roku wiosna przyszła do naszego Warsztatu Terapii Zajęciowej w Wiardunkach nieco spóźniona. Mimo to rozpoczęliśmy wcześniej wiosenne porządki na terenie naszego Warsztatu.

Pracami ogrodowymi, zwłaszcza przygotowaniem do uprawy warzyw, zajmowali się pracownicy, ponieważ uczestnicy pracowali zdalnie.

Praca, którą już włożyliśmy w uprawianie ogrodu warzywnego, w sezonie zbiorów obfitować będzie urodzajnymi plonami. Warzywa i owoce, jakie zbierzemy, służyć nam będą w pracowni gospodarstwa domowego jako cenny materiał do nauki czynności życia codziennego, zwłaszcza podczas przygotowywania posiłków.

Dla ułatwienia pracy w ogrodzie pracownia informatyczno-poligraficzna we współpracy z pracownią stolarską co roku przygotowują tabliczki z nazwami poszczególnych upraw, którymi oznaczamy zagony. Uczestnicy pozostałych pracowni będą brali udział w pielęgnacji roślin poprzez ich odchwaszczanie i podlewanie oraz pracę podczas zbiorów. Wszyscy skorzystają z ekologicznych warzyw i owoców, w których zawarte są cenne



wartości odżywcze. Mamy nadzieję, że w sezonie letnio-jesiennym stabilna sytuacja epidemiologiczna pozwoli

nam powrócić do tradycyjnego trybu pracy w naszym Warsztacie.

MARTA BYCZYŃSKA



FOT. (3X) DOMINIKA NIERADKA-JESSA

Dziękuję mamie

Matki osób z niepełnościami każdego dnia podejmują wiele starań, aby zapewnić bezpieczeństwo i jak najlepszą opiekę swoim pociechom. Ich wysiłek okupiony jest koniecznością rezygnacji z pracy zawodowej. Zapominają o sobie i własnych potrzebach. Są przemęczone, lecz mimo tego nie ustają w zapewnianiu swoim dzieciom jak najlepszych warunków do rehabilitacji i codziennego życia.

Kiedy miałem 4 lata, przeszedłem operację lewego ścięgna Achillesa w szpitalu w Krakowie-Prokocimiu. Wówczas moja mama wraz z siostrą przez dwa tygodnie mieszkaly w przyszpitalnym hotelu dla lekarzy rezydentów. Mogły tam spokojnie wypocząć. Mama poznawała w tym czasie tajniki rehabilitacji, aby po powrocie do domu móc wykonywać ze mną ćwiczenia usprawniające. Jednak nie wszędzie warunki dla opiekunów są korzystne. W wielu szpitalach wciąż brakuje miejsc dla rodziców towarzyszących chorym dzieciom. Teraz, w dobie epidemii, rodzice w ogóle nie mogą przebywać w szpitalach ze swoimi dziećmi.

W 2000 roku byłem z mamą w szpitalu na Górnym Śląsku na podaniu specjalnego płynu zmniejszającego spastyczność moich nóg (botuliny do nóg). Cały pobyt trwał około tygodnia, na który składały się badania lekarskie, rehabilitacja, a następnie podanie zastrzyków do nóg. Mama przez cały ten czas spała w szpitalu na materacu na ziemi, tuż pod drzwiami. Przez siedem nocy nie udało jej się zmruczyć oka nawet na chwilę, gdyż drzwi były ciągle otwierane przez wchodzący do sali personel medyczny.

Jakiś czas później moja siostra poważnie zachorowała. Mama kilka razy w tygodniu pokonywała odległość 100 km w jedną stronę, bo szpital znajdował się w innym województwie, a nie było możliwości zatrzymania się w pobliżu. Nie to jednak było najgorsze, a strach o zdrowie i życie córki. Opatrzność i modlitwa dodawały sił całej naszej rodzinie. Wszystkim matkom dzieci z niepełnościami życzę dużo cierpliwości i wytrwałości.

KRYSTIAN CHOLEWA

Trafiły do rodzinnych domów

Kilkadziesiąt zajączków, stroików i baranków wielkanocnych przygotowali uczestnicy Warsztatu Terapii Zajęciowej w Wiardunkach na przełomie zimy i wiosny, w ciągu dwóch miesięcy intensywnej pracy w siedzibie WTZ.

Te urocze, barwne i pomyślowe dziełka mogą budzić

niekłamany zachwyt. Świadczą o talentach plastycznych i pracowitości swoich wykonawców, obdarzonych wyobraźnią i poczuciem humoru. Prezentujemy skromny wybór spośród wielu innych prac. Trafiły one do rodzinnych domów ich twórców – uczestników WTZ.

DOMINIKA NIERADKA-JESSA



Obcy wśród ludzi

Józef Rychlicki, autor zamieszczonego poniżej tekstu, zmarł 2 listopada 2020 roku w wieku 74 lat. Tekst ten to fragment jego niezwykle autobiografii, którą opublikowaliśmy w odcinkach w pierwszych wydaniach „Filantropa” z lat 1994 i 1995. Dzisiaj, po wielu latach, chcielibyśmy przypomnieć dzieło niezżyjącego już autora. Jest to jedna z najpiękniejszych autobiografii osób z niepełnosprawnościami. Jest to dzieło człowieka, który nie mógł mówić, ale w sposób głęboko wzruszający opisał swoją historię walki o godne miejsce wśród ludzi.

Urodził się w 1946 roku we wsi Jerzmanki koło Zgorzelca. Mimo swojej niepełnosprawności był aktywnym uczestnikiem miejscowego środowiska literackiego. Jako poeta i prozaik publikował w prasie i antologiach. Był członkiem komitetu założycielskiego Stowarzyszenia Osób Niepełnosprawnych i Życziwych w Zgorzelcu. Oficyna Wydawnicza Klubu Literackiego „Inspiracje” Miejskiego Domu Kultury w Zgorzelcu wydała samodzielny tomik poetycki Józefa Rychlickiego oraz w 2005 roku jego autobiografię „W przechowalni niemocy”. mb

*

JESTEM POTWOREM

Od kiedy? Od samego początku.

Od początku mego świata – tam, gdzie był mój dom, stodoła, ubikacja, obora, bocian na łące, sarny pod lasem. Obecność matki, siostry i brata w pospiesznym obrządku, ponurość ojczyma.

Szczekanie psa. Skulenie się, ktoś idzie. Obcy. Nie, to ojczym wraca z cegielni. Lepiej mu się nie pokazywać.

Pewnego razu matka posadziła mnie w ogrodzie pod jabłonią. Gospodarski pies Burek pilnował mnie zawsze, kiedy matka szła w pole lub do sklepu. Siedziałem i patrzyłem. Najpierw na trawę (ile tam się działo wśród zieleni), potem na drzewa, a potem na słońce i chmury. A potem dostrzegłem cień Burka – dziwne – obejrzałem się i zobaczyłem, że ja też mam taką ciemną plamę na trawie. Ale mój cień był inny, ani siostra, ani brat, ani inne

dzieci nie miały takich. Mój cień wrósł w tę ziemię... chciałem wstać, wyprostować ten cień. Doczołgałem się do drzewa – rękami po pnii – wstałem i zaraz upadłem. I wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że mam inne ręce, inne nogi. Jestem potworem – pomyślałem w rozpacz.

Usłyszałem gniewny bełkot i wówczas zrozumiałem, że nie umiem poprawnie mówić. To wszystko naraz do mnie dotarło w rozpacz i buncie. To była moja największa tragedia. W moich ustach zagnieździła się jaszczurka wodna, pluła śliną, która ciągle spływa z moich ust. Nie mogłem się pohamować. Nosilem ciągle szmatę pod brodą. Rosłem z pogardą do siebie i do świata. Siedziałem sam za płotem na podwórzu, albo z mamą na pastwisku. Brała mnie na plecy i tak szła ze mną za krowami.

Czasami brałem drabiniasty wózek do trawy, opierając na nim ręce z dyszlem do tyłu, szedłem na tych krzywych nogach do lasu. Patrzyłem na drzewa, ptaki, bardzo lubiłem być w lesie. Marzyłem, by mieć coś własnego. Coś, czego nikt by mi nie zabrał. Miałem tylko konika, uszytego przez matkę.

Pewnego dnia kot zjadł gołębicę, zostały dwa młode. Matka zabrała je do kuchni, do pudełka, karmiłem je, dawałem im jeść ustami. Już się oswoiły, już się mnie nie bały. Otwierały dzióbki na widok człowieka. Widać uznały mnie za opiekuna. Zrobiłem im piękne gniazdko w tym pudełku i trzymałem na kominie przy piecu. Kot nie miał tam dostępu.

Któreś soboty znów poczołgałem się za wózkiem do lasu. Byłem tam długo, zapomniałem, że jest sobota. Kiedy wróciłem, matka piekła właśnie chleb, piec buchał gorącym. Zapomniała o piskletach... Coś się we mnie zapadło, nie mogłem jeść świeżej piętki. Myślałem o tych gołębiach i o sobie. Potem długo nie miałem niczego własnego.

A chleb piekł się nadal, czynność ta powtarzała się co sobotę. Matka na zmianę z babką piekły ogromne bochny chleba. Dawały mi ciepłą pięt-

kę z masłem. Babka była dla mnie dobra, zawsze śpiewała mi ukraińskie piosenki:

*Pisza baba do miasta,
Kupiła horec ciasta.
Nadeszoł baranec,
Pudy babo w tanec.
Ja ne pijdu w tanec,
Bo mena palec bolyt.
A szo w tobi palec?
Suka mene wkusyla.
A gde ta suka?
Na hory segnyla.
A gde ta chora?
Barwinkom zarosla.*

Albo kolędy babcia z matką śpiewały na dwa głosy. Babka zimą na sankach przywoziła mąkę – zawsze w soboty piekły pięć okrągłych chlebów na cały tydzień.

I właśnie któregoś takiego wieczora usłyszałem, że w poniedziałek rano pojedą ze mną do kliniki. Co to jest klinika? Groźne słowo, obce. Nigdzie nie pojedą – pomyślałem buntując się. Pojechali ze mną. Miałem wtedy chyba z pięć lat. Lekarze obejrzeni mnie dokładnie. Powiedzieli: zespół Little’a, niech go pani zostawi. My i tak go nie wyleczymy. Można korygować pewne części ciała, zlikwidować przykurcz nóg, ale chodzić nie będzie. No ta jak panie decydują?

Słuchałem tego wszystkiego w ogromnym przerażeniu. Sam tutaj? Wśród tylu obcych? Chwyciłem się babki jak oszalały. Z ogromną siłą zacząłem płakać. Nie zostanę. Choćbym miał się wgrzyźć w jej bluzkę. Nie pozwolę się oderwać.

– Dobrze. Zgadza się – powiedziała matka.

– Co ty? Chcesz by eksperymenta na nim robili? Dziecko krajali? Na różne praktyki chcesz go tu zostawić? – mówiła babka. Nie widzisz, co się z nim dzieje? Jak się boi? W ziołach go kąpię, jak ma pomóc, to pomoże. Wyleczę go sama.

I babka nie pozwoliła mnie zostawić. Przywozili mnie szczęśliwego do domu.

Co wtedy wygrałem, a co przegrałem? Nie wiem.

Rosłem z nadzieją, że naprawdę babka mi pomoże. Na jakiś czas babka wzięła mnie do siebie i co wieczór mnie kąpała – w sianie, w dębinie i soli, ale efekty nie były zadowalające. Co prawda dla babki każdy mój krok był sukcesem, ale nie był to wyczyn na miarę moich marzeń.

Wielkanoc. Przyszli sąsiedzi, wszyscy siedzą przy stole, piją. Ja siedzę cicho w kącie na kanapie. Matka daje mi do ręki kawałek słodkiego ciasta. Śpiewają, język im się płacze. Kto w maju rodzony jest – powstań, powstań, powstań / i weź do ręki kielich swój i wypij aż do dna.

Pili. Śpiewali. Alleluja. Ktoś zapytał: a Józiu kiedy urodzony. Zaśpiewajmy mu. A może wódki ci dać? – zaproponował ktoś inny. I choć matka broniła, wzięłem i wypilem. Nie robili mi przecież krzywdy, albo tylko trochę. Ktoś powiedział – niech ma też swoje święto.

I wtedy poczułem nieznaną ciepło i jakąś ogromną moc. Ktoś coś mówił, krzyczał, ale do mnie nie docierało. Już nie pełzałem. Wstałem i biegałem. Naprawdę biegałem – prosto do drzwi. I nagle krzyk matki pełen przerażenia:

– Synu, stań, upadniesz!

Upadłem. I już nigdy w życiu tak nie biegałem.

Strzępy słów, dialogów, czy też zostaną we mnie do końca życia? Wydaje mi się, że nigdy od nich się nie uwolnię. Rosłem z coraz większą świadomością skrzywdzenia. Matka wyszła za męża, urodziło się dwoje zdrowych dzieci, ale ojczym od początku mnie nie akceptował. Nie mógł znieść mojej obecności. Drażniło go kalekie dziecko, bez żadnej szansy na przyszłość, samodzielną, jasnoocieką, jasnowłosą, z jakimś przedziwnym bełkotem, niepodobnym do ludzkiej mowy. Najlepiej byłoby, żebym milczał. Nawet nie wolno było śmiać się w obecności ojczyma. A śmieszyły mnie różne rzeczy, gdy byłem mały, potem już coraz mniej. Przeżywałem bowiem każdy najmniejszy oddech niechęci.

ciąg dalszy na str. 36 i 37

Obcy wśród ludzi

dalszy ciąg ze str. 35

Któregoś ranka dokonałem kolejnego odkrycia. Ojczym goił się – śmieszny bardzo – tylko nos mu sterczał w pianie. Zacząłem się śmiać. Śmiać? Nawet mój śmiech był bełkotliwą czkawką.

– Milcz, ty... – krzyknął na mnie ojczym.

I spojrział na mnie tak, że już nigdy więcej nie śmiałem się przy nim. Przy śniadaniu zobaczyłem w jego ustach też jakieś zwierzę – było złe, chciało się wydostać na zewnątrz, ale on mu na to nie pozwalał. Wpychał je do środka. To on się tym karmił. Krzyczał: wołę psu dać niż jemu. I wołał psa. A ja się kuliłem, malał mój zapał. Matka i tak dawała mi jeść, bywało i tak, że robiła to po kryjomu, tak, żeby on nie widział, bo zawsze mówił, że matka lepiej mnie karmi niż jego. Czy tak było naprawdę – nie wiem.

Za chwilę miał przyjść ksiądz po kolędzie. Ojczym chciał, aby wyniesiono mnie do komórki.

– Popatrz, co on ma za spodnie? – powiedział.

– Mówiłam, żeby mu kupić nowe – powiedziała matka.

– Z worka byłyby dla niego aż za dobre – odpowiedział ojczym.

– Co on winien? Czy prosił się na ten świat? Gwałtem go przyciągnęli – broniła mnie babka. – To mądre dziecko. Wszystko rozumie. Gwałtem przyciągnęli go na tę mękę.

Kto mnie przyciągnął? O czym oni mówią? Kiedy byłem starszy, zapytałem matkę, skąd się u niej wzięłam. Powiedziała mi, że bocian mnie przyniósł i zostawił przy studni. A ona szybko zabrała mnie do domu. Wtedy pomyślałem sobie, że pewnie nikt mnie nie chciał. Bo mam takie powykęcane nogi. Dobrze, że mama mnie chociaż zabrała spod tej studni.

Jak byłem jeszcze starszy – powiedziała mi prawdę. Najpierw o tym, że była straszna wojna. Spadały bomby. Niemcy zabijali ludzi. Ona miała 19 lat. Niemcy złapali ją i wywieźli na roboty do Niemiec. Gdy zbliżał się front, przydzielono ją do

pasania krów. Szli żołnierze radzieccy. Jeden z nich zobaczył ją na łące. Powiedział: pięć lat nie miałem kobiety. I kolbą w głowę. Może zresztą powiedział: pięć miesięcy. Albo pięć tygodni. Nieważne. To był jej pierwszy mężczyzna.

Odtąd ciągle myślałem o tym żołnierzu. Jaki on jest? Czy jeszcze żyje? Czy chociaż raz jeden pomyślał, poczuł, że ma syna? Myślałem o nim z buntem, nienawiścią. Tysiące razy wyobrażałem sobie, jak wyglądał. Patrzyłem na siebie, badając twarz, co jest z matki, a co z tamtego? Noszę to w sobie do dziś. Straszna męka.

Siedząc na dworze bawiłem się z innymi dziećmi, przeważnie byłem furmanem. Chłopcy sadzali mnie na wózek polowy, a sami zaprzęgali się jako konie. Taka zabawa trwała nieraz do wieczora. Matka kończyła obrządek i zabierała mnie do domu. Niektóre dzieci wyśmiewały mnie i przedrzeźniały. Mimo to chciałem być z nimi ciągle. Śmiały się z mojego pełzania, z mojego bełkotu, z mokrej szmaty pod brodą. Pewnego razu nie wytrzymałem, miałem już tego dość. Najbardziej zezłościł mnie Tadek Lewkowski, był w moim wieku. Dosyć dobrze raczkowałem i właśnie chwyciłem go za nogi, przewróciłem i zacząłem okładać tą jedną, mocną ręką. Mocno, mocno, bez pamięci. Był zaskoczony. Na jakiś czas dał mi spokój. Byłem za mocny dla niego. Nie pozwoliłem sobą pomiatać. Traktować jak głupka, który nic nie rozumie.

Rozumiałem coraz więcej. W domu kłótnie o mnie; słyszę je, cierpię. O to, że matka szyje mi spodnie, o to, że dostaję jeść wspólnie ze wszystkimi, o to, że pętam się, że jestem, że żyję. Ojczym swoje dzieci traktuje zupełnie inaczej, co pogłębiło we mnie uczucie inności. Matka musiała mnie umyć, ubrać, zanieść do ubikacji. Coraz mniej miała czasu dla siebie. O to też były kłótnie.

Brat i siostra zaczynają chodzić do szkoły. Mają swoje zeszyty, książki, swoje kredki. Siedziałem i patrzyłem na te ich teczki, na to ich uczenie się. Czasami brałem kredki i

malowałem. Im bardziej rośłem, tym bardziej poszerzał się obszar niedostępnych pragnień i marzeń.

BÓG NIE PRZESZKODZIŁ

Matka uczyła mnie modlitwy – była to moja furtka do spełnień. Wierzyłem w nią. Modliłem się więc do Boga o to, abym mógł sam wyjść do ubikacji, by ojczym nie krzyczał na matkę. Bym mógł chodzić do szkoły, mieć własne ołówki i gumkę. I jeszcze o to, by Bóg zrozumiał, co do niego mówię, by mnie nie odrzucał zniecierpliwiony moim bełkotem. A kiedy wydawało mi się, że Bóg jest już zmęczony i trochę przysnął i nie dosłysz – modliłem się cichutko o to, by być takim jak inni. Mieć zdrowe ręce, zdrowe nogi, biegać, skakać, a nawet wsiadać na konia. Lubiłem konie.

Bóg był dobry. Nie uciszał mnie, nie strofował. Gdybym chciał, to mógłbym się nawet głośno śmiać do niego. Ale nie ożywił gołębi, nie podarował mi zdrowia. Tylko słuchał.

Ojczym w domu był też jak Bóg. Wszyscy musieli go respektować. Umiał też zrobić wszystko. Patrzyłem na jego mocne ręce. Podziwiałem go, jak rąbał drzewo, jak kosił, wprowadzał krowy, jak czule do nich przemawiał. Gdybym miał takiego ojca i gdyby ten ojciec mnie kochał, może bym nawet wyzdrowiał?

Trzeba było piec naprawić, bo dymił, nie grzał – już ojczym kafele rozbiera, robi zaprawę. Trzeba było wymienić spróchniałe deski – już wymienił. Nie było sprawy, by sam czegoś nie zrobił. Nigdy nie siedział bezczynnie i innych też gonił do pracy. Myślałem: gdybym ja mógł chodzić, to też bym się zajął pracą. A najbardziej zajmowałbym się koniem. Czuł lejące w rękach i ziemię pod stopami! Koń słucha mojego rozkazu i idzie tam, gdzie ja chcę. Co to musi być za radość!

I naraz szok! Mam jedenaście lat, wywożę mnie z domu. Na nic płacze, protesty, ojczym postarał się o miejsce w sanatorium rehabilitacyjnym w Busku-Zdroju. Matka płacze,

ja płaczę, babka płacze. Ale tym razem ojczym podjął decyzję bez odwołania. On jest wszechwładny. Pan Bóg nie przeszkodził. A może, zajęty, nawet nie zauważył, że zniknąłem spod jabłoni.

Jechałem pociągami. Na stacji w Kielcach widzę, że nie tylko ja jadę w tym samym kierunku. Są inni, podobni do mnie. Suną – na kulach, na wózkach, i na rękach matek lub ojców. Trzymają się mocno i kurczowo, wystraszeni. Ja również boję się strasznie – nie wiem, gdzie jadę. Co to jest sanatorium? Przyjeżdżamy – i szok kolejny. Pożegnanie z matką, płacz na całym korytarzu, bo nie tylko ja płaczę. W ogóle nie wiem, co się dzieje. Długi korytarz i jakiś osoby w białych fartuchach zabierają nas kolejno na salę z kilkoma łózkami. Matka przed drzwiami ostatni raz macha mi ręką na pożegnanie. Serce rwało mi się przez piersi i nagle ten bełkotliwy krzyk:

– Mamo, nie zostawiaj mnie tutaj!

Ale matki już nie było. Drzwi się zamknęły i siostry prosiły o spokój. Nie mogłem uwierzyć, że matka mnie zostawiła.

W domu matka czuwała nad każdym moim krokiem, a raczej sunięciem po podłodze. Pomagała się umyć, ubrać, szła za mną do ubikacji na podwórze. Tutaj od pierwszego dnia: myj się sam, ubieraj się sam – ucz się samodzielności. Nie licz na nikogo. Licz na siebie. Nie oczekuj pomocy. Szukaj siły w sobie. Nie, nie. Dlaczego tak okrutnie? Buntowałem się.

Dlaczego nie chcą pomóc? Jak to ciężko samemu się ubrać. Kalekie dzieci ubierały się nawzajem. I to tylko tyle. Siostry pomagały tylko tym dzieciom, które rzeczywiście nie mogły koło siebie nic zrobić. A było dużo takich dzieci, a były to dzieci przeważnie po mózgowym porażeniu dziecięcym w różnym nasileniu. No i jeszcze ta moja niewiedza. Zaprowadzano mnie do wykafelkowanej ubikacji. Co za dziwy. W domu ubikacja była z desek, a tu? Stałem oparty o ścianę i patrzyłem. Gdzie tu się można załatwić? Długo rozgląda-

łem się zdumiony. Chyba się pomylili, drzwi nie ma. Ale ja już dłużej nie mogę się dziwić, trudno, poszedłem do kąta...

Poczucie obcości, daleko od domu. Jaś kiwa się rytmicznie. Tomek przekłada przedmioty z jednego pudełka do drugiego i na odwrót. Antos nie mówi, a jeszcze ktoś krzyczy jakimś niezrozumiałym bełkotem. Są to dzieci oderwane od świata zewnętrznego, przeżarte tym wszystkim, co się wokół nich dzieje. A dzieje się bardzo dużo: jest gimnastyka poranna, potem znów gimnastyka po śniadaniu. Szkoła i zajęcia indywidualne, jakieś gry i zabawy. Moc wrażeń, które przychodzą z dnia na dzień, nie poznane tam w tym domu. Każdy jest zamknięty, skryty, nieufny.

Wprowadzano w nas poczucie odpowiedzialności. Wielu moich kolegów nie mogło się do tego przyzwyczaić, ale każdy musiał wiedzieć, gdzie co leży i gdzie co położyć. Ta porządkowość pozostała we mnie do dnia dzisiejszego. Personel pełen dla nas życzliwości stara się oderwać nas od patrzenia w ścianę poprzez różne zajęcia, nasze ręce i myśli są ciągle zajęte. Uczą nas dostrzec innego życia i zadowolenia z wykonanej czynności.

Ja po raz pierwszy stykam się ze szkołą, mam zeszyt, kredki, książki. Niespełnienie jest spełnione – mogę się uczyć, ale jeszcze listu do domu nie mogę napisać – wysyłałem więc do domu rysunkowe listy. Rysowałem czapkę – znaczyło przyslijcie mi czapkę. Rysowałem ciasto – znaczyło tęsknię za makowcem. Rysowałem serce – kocham was bardzo. Przekreślone usta – dlaczego milczycie? Rysowałem pociąg i mamę – znaczyło przyjeżdż mamę, czekam. Ale serce czerwone było nadawane tylko z mojej strony. Matka nie mogła jeździć pociągami, często po takich podróżach była chora. A dzielila nas pięćsetkilometrowa odległość. Raz tylko odwiedziła mnie babka. Więcej nie zdążyła. Zmarła.

Odwiedziny babki były bardzo ciekawe. Byłem właśnie po pierwszej operacji, leżałem w gipsie biodrowym. W dwa dni później odwiedziła mnie babka. Gdy mnie zobaczyła w gipsie, zaczęła mocno płakać.

– Co oni z tobą zrobili – mówiła babka.

Ja widząc, co się dzieje, mówiłem:

– Babciu, niech babcia nie płacze, to nic takiego. Popatrz, obok leżą dzieci podobne do mnie, niektóre z nich cierpią jeszcze więcej niż ja. Popatrz, na jakim wyciągu leży Janek – u szyi ciężarki, u nóg również. Albo na przykład Rysiek, cały w łóżeczku gipsowym. A potem, żeby dodać sobie otuchy, zacząłem śpiewać:

*Przyleciał ptaszek
Z Rzeszowa,
Usiadł na rynku
Krakowa.
A tam na rynku
W Krakowie
Domy stanęły
na głowie.*

Zobaczyłem uśmiech na twarzy babki:

– Ty zawsze byłeś dobrym i mądrym dzieckiem... – mówiła.

Odwiedziny nie trwały wiecznie, następne dni to walka z bólem i cierpieniem. Po tem zdjęcia gipsu, rehabilitacja i następna operacja. Przy tym wszystkim zajmuje się mną pani doktor W. Starkiewicz (jest pedagogiem), która przychodzi do mnie osobiście i przez kilka godzin uczy mnie mówić wyraźnie, pisać i czytać. Po raz pierwszy w życiu ktoś się mną tak zajmuje.

Pani doktor prywatnie poświęciła mi dużo czasu. Najgorsza była nauka mowy. Dostałem pudełko pierza i po jednym piórku musiałem dmuchać. Ćwiczenia polegały też na tym, abym obserwował mówiąc odbicie swojej twarzy w lustrze i abym odpowiednio układał usta.

– Jesteś zdolny – mówiła pani doktor – musisz się dużo uczyć.

Po co się tyle uczyć, myślałem. Bolało mnie, a musiałem przygotować lekcję z móżdżkiem. Ona nie wie, z jakim trudem trzymałem książkę w ręku. Byłem przecież po operacji. Nauka w łóżku nie należy do przyjemności. Potem znów zdjęcia gipsu i rehabilitacja ruchowa, i to kilka godzin dziennie. Najpierw mały rozruch, potem nauka chodzenia, kąpiele, borowina. Coraz bardziej zaczyna mnie to męczyć, staję się leniwy, agresywny, uciekam od gimnastyki. I po raz pierwszy dostaję upomnienie, że jeśli nie będę posłuszny, to ode-

ślą mnie do domu. Jedynie pani doktor, inaczej niż wszyscy dotąd tłumaczy mi, że muszę być cierpliwy i budzi we mnie nadzieję, że będę chodzić, że będę niezależny. Odtąd żyję tą myślą.

Słowa nadziei dodały mi nowych sił, więc znów ostro wziąłem się do rehabilitacji ruchowej. Pamiętam jak raz przywiązano mnie do stojaka, który nazywaliśmy sputnikiem. Chodziło o pionizację, moje ciało musiało się przyzwyczaić do pozycji stojącej. I właśnie na tym sputniku zemdlałem. Wysilek był tak ogromny, że po prostu nie wytrzymałem. Gdy doszedłem do siebie, leżałem w łóżku, a nade mną stała pielęgniarka i pani doktor.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Dobrze – odpowiedziałem.

Dzień ten przeleżałem w łóżku, ale następny znów zaczął się od ćwiczeń ruchowych. Trwało to tak przez dwa lata. W tym czasie miałem cztery operacje. Co prawda nie chodziłem jeszcze o kulach, ale po ośrodku sanatoryjnym mogłem się poruszać za pomocą posuwanego balkonika.

Ponieważ w sanatorium tym nie było wolno przebywać więcej niż rok, a ja byłem ponad dwa lata, lekarze stwierdzili, że jest to już największy czas, bym wrócił do domu, bo i tak zbyt długo zajmuję miejsce, a inni też chcą się leczyć. Napisali więc powiadomienie do domu, by ktoś po mnie przyjechał. Przyjechał ojczym. Na korytarzu przypadkiem spotkał nas jeden z nauczycieli, który mnie uczył.

– Po co pan przyjechał? Niech pan ucieka, zanim dyrektor nie zobaczy pana – powiedział nauczyciel. – Jest to jeden z lepszych uczniów. W ciągu dwóch lat zrobił cztery klasy. W domu nie będzie miał takich możliwości.

Niestety, ojczym nie zdążył uciec. Na korytarzu pojawił się dyrektor sanatorium.

– No, nareszcie przyjechał pan po syna – powiedział dyrektor. – Najwyższy czas, by pan zabrał syna do domu. Zrobiliśmy niewiele, ale pański syn jest zbyt uparty i leniwy, by cokolwiek można było z nim zrobić. Mamy dużo takich dzieci, które chcą pracować nad sobą, a pański syn nie ma takiego zrywu. Jest naprawdę nieobowiązkowy w ćwiczeniach rehabilitacyjnych.

Całą powrotną drogę do domu ojciec zatrzymał mi życie, że niby specjalnie nie chodziłem ćwiczyć, bo chciałemjechać do domu. Ale dziwiłem się temu wszystkiemu, ponieważ po ostatniej rozmowie z panią doktor Starkiewicz naprawdę się starałem. Więc dlaczego wszyscy mówią, że jestem leniwy? Zaczęło mi coś świtać, że to nie moje lenistwo spowodowało mój wyjazd, lecz mój długi pobyt w tym sanatorium.

Znów byłem w domu. Las, gołębie i pies Burek, który nie mógł się nacieszyć, gdy mnie zobaczył na podwórzu. Można powiedzieć, że nikt mnie tak nie powitał, jak ten pies, czekał, skomlał i skakał po mnie, jakbym był jego współbratankiem. Mama nadal wynosiła mnie na podwórze i sadzała pod jabłonią, siedziałem tam całymi dniami. Było coraz gorzej. Tym razem nie mogłem raczkować, ponieważ moje nogi były operacyjnie usztywnione w kolanach, a nie miałem w domu balkonika, za pomocą którego mogłbym się poruszać.

PIES WYSŁUCHAŁ MOJEJ SKARGI

Spod jabłoni widziałem cały świat: drogę do lasu i do wsi, podwórze, sąsiada z grabiami, studnię. Dom był stary i pełen tajemnic, tylko dachówka nowa, którą ojczym wymienił. Stodoła pełna słomy, przy której krzątał się ojczym. Człowiek ten nigdy nie siedział bezczynnie, jego ręce zawsze były czymś zajęte. Albo kosę klepał, albo z motyką szedł w pole. Burek zawsze siedział przy mnie i wraz ze mną obserwował, co się wokół dzieje. A gdy słońce zachodziło czerwono, matka zabierała mnie do domu. Potem matka gotuje wieczerzę. Czystym płomieniem palą się gałęzie, w jego blasku rozjaśnia się cała izba. Matka zakasawszy rękawy kroina deseczce słonię na zasmażkę. Siostra Marysia obieira ziemniaki. Brat Kazik znosi naręcza suchego drewna, pilnuje, by wygasł ogień. Ojczym zmęczony pracą dzienną śpi na kanapie. Niekiedy ocknął się, mrużąc oczy przed blaskiem ognia, pytał, czy już ugotowane, i znów drzemał mrucząc coś przez sen.

cdn.

Ciąg dalszy zabawy w horoskop

W kwietniowym wydaniu „Filantropa” (strony 34, 35 i 36) rozpoczęliśmy publikowanie niezwykle go horoskopu nie istniejącego już ludu Aleoteków, który zamieszkiwał niegdyś tereny dzisiejszej Gujany.

Tym razem, po horoskopie kwietniowym spod znaku „Kukurydzy”, możemy poznać poniższy horoskop majowy, w którym osoby spod znaku

„Agawy” dowiedzą się, co ich może czekać w bliskiej i dalszej przyszłości. Mogą poznać swoją osobowość, zalety swojego charakteru, swoje szanse rozwoju. Całoroczny horoskop Aleoteków był już opublikowany w poprzednim, kwietniowym wydaniu „Filantropa” (str. 34). Przypomnijmy, że autorem horoskopu jest Zbigniew Nowak. *red*

KALENDARZ ALEOTEKÓW



Pleoatl - Agawa

22. 05 - 6. 07

To będzie dla Agaw rok nowych możliwości. Agawy mają szansę zacząć wszystko od początku, niezależnie od swojej życiowej sytuacji. Wiele zależy od tego, jakie będą mieć nastawienie w miesiącu Pleoatl. To w miesiącu Pleoatl właśnie Agawy poczuć się gotowe do podjęcia nowych decyzji i wzięcia spraw w swoje ręce. Niektóre decyzje będą bardzo radykalne. Warto je dobrze przemyśleć i nawet zrobić wstępny szkic działania, bo ich owoce Agawy zbierać będą przez następne lata. To co znane będzie Agawy nudzić, a to, co nowe będzie ich jedynym celem. Idealny czas na rozpoczęcie nowej ścieżki edukacji, wyznaczenie sobie celów na przyszłość. Będą Agawy w tym czasie niespokojne (ale w sposób twórczy) i dużo odważniejsze. Poczucie humoru będzie ich największym orężem.

Cokolwiek to nie oznacza – osiągną one ogromny postęp w dziedzinie, na której się najmocniej skupią. Jeśli przyłożą się w tym roku do pracy, uda im się wykorzystać szansę na zabezpieczenie swojej dalekiej przyszłości. Może się czasem zdarzyć, że Agawy dopadnie lenistwo, ale niech Agawy nie poddają się temu. Wszystkie nieprzespane noce i przepracowane wieczory bardzo im się opłacą. To samo dotyczy treningów czy inwestowania w swój rozwój duchowy.

Horoskop podpowiada Agawom rozsądek w sprawach finansowych, a nawet oszczędzanie. Uważajcie na kredyty i współników. Możecie liczyć na wsparcie rodziny, ale niektórzy mogą patrzeć podejrzliwie - muszą Agawy przygotować się nawet na ludzi spiskujących w ukryciu.

W sferze uczuć Agawy spotka wiele dobrego – pod warunkiem, że nie zamkną się w sobie i życzliwszym okiem spojrzą na kogoś, kto wcale nie jest daleko.

Przesłanie dla każdej Agawy - wystrzegaj się czarnych myśli i pod żadnym pozorem nie próbuj rozpamiętywać swoich porażek!

Przeostroga – nie zaniedbuj swoich obowiązków!

Rada dla Agawy - skup się na tym, by myśleć pozytywnie i z wdzięcznością wspominać poprzednie lata.



BÓG DESZCZU MEOLENCOATL
NARYSOWANY PRZEZ
RODRIGA DE BASTIDAROSSE



Zbigniew M.
Nowak
KOŁOBRZEG

Szczygieł(34)

– Mamy tu idealny spokój – rzekła Helena. – Może trochę daleko do centrum, ale coś za coś. A my z tej zamiany jesteśmy bardzo zadowoleni.

– Tylko nie wiem, czy długo pocieszycie się tym odosobnieniem. Miasto się rozrasta i ani chybi was wchłonie razem z tymi polami. O Jezu! Słyszycie, jak mi strzela w łokciu? – Regina wyprostowała i ostrożnie zgięła rękę, w której trzymała widelec. – Zupełnie jak u nas. Też wszędzie budują.

– A właśnie, co słyhać u twoich chłopaków? – spytała Helena, pokazując na salaterkę z sałatką warzywno-owo-cową. – Może trochę? – zaproponowała.

– No, co u nich... – Regina dołożyła sobie jednak kawałek kaczki. – Obaj już poza domem. Krzysztofek za rok kończy tę swoją geografę.

– To już? Popatrz, Helenko, jak ten czas szybko leci. To masz go, że tak powiem, z głowy.

– Ale tam! A gdzie on znajdzie po takim kierunku pracę? Poza tym czy on usiedzi na miejscu? Nosi go ciągle gdzieś po świecie. Teraz jest w Nepalu.

– W Nepalu?

– A jak ty myślisz? Pojechał wleźć na jakąś górę.

– Jeszcze sobie co zrobi.

– A czy ja mogę coś na to poradzić? Nic, moi kochani. Dzwonił do mnie w tamtym tygodniu od jakiegoś kolegi. Podobno góra ma nie być wysoka. Ale tere-fere, niewysoka! Takie to on ma u nas. A tam? Tam niskich nie ma.

– Da sobie chłopak radę. Nepal? Sam bym pojechał.

– A Michał? – spytała Helena.

– Michał na trzecim roku. Też zagląda do domu, jak mu pieniędzy zbraknie albo zgromadzi za dużo brudów do prania.

Helena spojrzała na szwagierkę.

„Mój Boże – pomyślała. – Jak to ludziom może udawać się w życiu. Przecież Regina nigdy zbyt nie troszczyła się o synów. Bezstresowe wychowanie, które było zwykłym brakiem wychowania, nie absorbowало jej czasu ani uwagi, ani uczuć. Żyli obok niej i jakoś sobie radzili. A mimo to wyrosli – zdrowi i szczęśliwi. Prawda, gdyby Hubert wyjechał mi w Himalaje... Ale przecież byłby sprawny i samodzielny. Wszystko byłoby inaczej”.

– To już tak jest – powiedziała wyrozumiale. – Myślimy też tacy byli. Za to teraz... – ukradkiem otarła łzę.

– No tak... – Regina westchnęła, dając poznać, że wszystko rozumie. – A teraz bieda. Ale co wy, biedni, macie począć, skoro nad całą naszą rodziną wisi klątwa.

– O czym ty mówisz?

Mateusz w pierwszej chwili nie skojarzył tej starej historii.

– Daj spokój, Dzinu – zawstydzony próbował powstrzymać siostrę. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że i ty wierzysz w te bajdy.

– W jakie? Mateuszu... Nie przeszkadzaj! – zniecierpliwiła się Helena. – Może byście byli mniej tajemniczy? – dodała zaciekawiona.

– To ty nic nie wiesz? Mateusz ci nie opowiadał? – Regina spojrzała na brata i widząc jego niezadowoloną minę, odgadła: – Nie opowiadał wam.

– O czym, ciociu? – Hubert przerwał jedzenie.

– Jest w naszej rodzinie taka historia...

– Dzinu, ja ciebie proszę! Daj ty spokój!

– Mateuszu! Co to za historia, Redziu?

– Powiedz, ciociu – poparł Hubert.

– Redziu!

– Widzicie – Regina uznała, że musi wszystkich uświadomić – wszystko zaczęło się lata temu, już wszyscy zapo-

mnieli, jak dawno dokładnie, od naszej pięknej praprababki. Adrianna, tak miała na imię, była kobietą szczególnego powabu. Skąd taka w naszej rodzinie? Może u Studdzińskich takie panny się rodziły, bo ona z domu była Studdzińska. Tak, może stamtąd, bo u nas... Miała ta Adrianna ogromne powodzenie wśród okolicznych kawalerów. Stalali się o nią, zabiegali. Ale ona była wybredna. Przebiegała i zwlekała z zamążpójściem, korzystając z życia. Aż kiedyś, kiedy nikt się tego nie spodziewał, oświadczyła, że zostanie żoną miejscowego aptekarza. Pigularz był człowiekiem porządnym, spokojnym i... cichym, więc każdy zachodził w głowę, jak taki safandula zdołał skłonić nieuchwytną Adriannę do oddania ręki właśnie jemu. Tajemnica poniekąd się wyjaśniła, kiedy młoda żona po ośmiu miesiącach obdarzyła szczęśliwego wybrańca śliczną córeczką. Biedak z radości prawie unosił się w powietrzu. Taka żona i taka córka. Obie piękne i obie jego. W tym czasie w miasteczku stacjonował pułk kawalerii i pewnego razu do apteki wszedł młody i urodziwy jak malowanie rotmistrz, adiutant dowódcy pułku. Od razu wpadła mu w oko młoda aptekarzowa. I on jej się spodobał. Zaczął więc w aptece bywać coraz częściej, zwykle podczas nieobecności męża, i niewiele czasu trzeba było, żeby zostali kochankami. Biedny safandula o niczym nie wiedział i dalej robił te swoje pigułki. Los jednak dla kochanków był nieprzychylny, bo wybuchła wojna i pułk przeniesiono gdzieś aż na Krym. Zakochana Adrianna, nie mogąc znieść rozłąki z rotmistrzem, porzuciła męża, dziecko i pognąła za nim na te dzikie stepy. Na kilka lat słuch o niej zaginął. Aptekarz, Gizelski się zwał, a imię niestety zapomnieniu uległo przez wieki, pocziwy był człek z niego, naprawdę, żył jak wdowiec i sam wychowywał córkę. Jednak którejś deszczowej nocy Adrianna pojawiła się na progu

jego domu. Nie była sama. Na rękach trzymała dziecko, dziewczynkę, owoc zakazanej miłości jej i poległego, jak się okazało, kawalerzysty. Dobrotliwy mąż przyjął ją z powrotem razem z dzieckiem. Ale już dawnego szczęścia odbudować nigdy mu się nie udało. Nasza praprababka, oprócz dziecięcia po kochanku, przywiozła ze sobą cenną biżuterię, w tym cztery sznury pereł. I właśnie te perły są w tym opowiadaniu najważniejsze, bo o nie po latach, kiedy Adrianna leżała na łożu śmierci, pokłóciły się jej córki. Jedna uważała, że z racji starszeństwa klejnoty po matce jej się należą, druga zaś była córką rotmistrza i perły były dla niej także pamiątką po ojcu. Siostry, różne z urody i temperamentu, nigdy się nie pokochały, a nawet nie polubiły. I kiedy poszło o klejnoty, gwałtownie się znenawidziły.

– I która wzięła perły? – Hubert słuchał równie urzeczony jak Helena i do granic przejęta Kasia. Tylko Mateusz uśmiechał się pod nosem.

– Młodsza – Regina spojrzała w jego stronę kontenta z okazywanego zainteresowania. – Młodsza była sprytniejsza i szybsza. Zabrała klejnoty i ukryła przed siostrą. Lecz tamta w dzikiej nienawiści krzyknęła, że wyklina ją, jej przyszłe dzieci i wnuki aż do dwunastego pokolenia. Od tamtego czasu minęły dziesiątki lat, pozaczierały się fakty, imiona, lecz o klątwie nikt nie zapomniął, bo w każdym pokoleniu kogoś spotykała jakaś tragedia.

– I my jesteśmy potomkami młodszej siostry? – Hubert zaczął pojmovać, że znalazła się przyczyna jego nieszczęścia.

– Właśnie tak – Regina była pewna, że przekleństwo wszystko wyjaśnia i opowiadała dalej. – Te perły były w naszej rodzinie aż do okupacji hitlerowskiej. Wtedy nasza cioteczna babka Marianna, chcąc ratować męża przed Bełżcem, oddała je jakiemuś

Standartenführerowi. Ten okazał się szuja, wziął klejnoty, ale zwolnienia z transportu nie załatwił. Kłatwa działała – męża babki razem z innymi więźniami Niemcy w budzie samochodu zagazowali oparami benzyny. Sama Marianna też szybko się zakręciła. W rok po wojnie zmarła na gruźlicę.

– Co za historia! – ocknęła się zasłuchana Helena. – Że też ty, Mateuszu – spojrzała na męża z wyrzutem – nigdy nic nie powiesz.

– A o czym tu mówić? – zachnął się Mateusz. – Głupie klechdy starych ciotek.

– No wiesz, Mateuszu! – oburzyła się Regina.

– Dziniu, nie o ciebie mi chodzi.

– Nie?!

– Ale dlaczego myśmy nigdy tej historii nie słyszeli? – przerwała Helena. – Przecież to brzmi...

– Jak opowiedzieć ze szmatławca – Mateusz był nieprzejeźdny. – Ty przecież nie czytujesz szmatławych romansów.

– A skąd wiesz, że nie czytuję?! – zacietrzewiła się i zaraz dodała pojednawczym tonem: – Fakt, co prawda, to prawda, nie czytuję szmatławych romansów. Ale o perłach mogłeś nam opowiedzieć!

– Powiedz nam może, Dziniu – rzekł Mateusz – gdzie ostatnio wybrałaś się reperować zdrowie?

– Gdzie ja byłam? – Regina dołała sobie z dzbanka wody do popicia i pomyślała chwilę zaskoczona przez brata nagłą zmianą tematu. – No właśnie? Aha, w Cieplicach byłam. W Cieplicach. Tamtego roku. Oo! Bardzo przyjemne sanatorium, bardzo. Ach! Powiadam wam... Dużo ludzi tam się zjechało, z całej Polski. Jedni mniej, inni bardziej chorowani. Każdemu coś tam dolegało. Chociaż, nie powiem, było kilku takich, co to się chyba jedynie wywczasować przyjechali. Zdrowe konie. Jak oni sobie to sanatorium załatwili? Ja tyle zachodu z tym miałam, a przecież chora jestem. Tamci tylko się za kobitkami rozglądali. Ale zabiegi pobierali wszystkie, tak jak inni. A zabiegi były przeróżne – masaże, prądy, borowiny, parafiny – o czymkolwiek pomyśleć,

to tam mieli. Mnie lekarz przepisał kąpiele w wodzie mineralnej. Żebyście, kochani, wiedzieli, jaka to świetna rzecz. Odpęza, łagodzi bóle. Czułam się po nich jak odmłodzona. Poznałam nawet pewnego pana, miłego, kulturalnego, z klasą, który również miał kłopoty z kręgosłupem. Opierał się na lasce i z początku nawet na fajfy nie przychodził. I on po kilku kąpielach poczuł się lepiej. A był tam też taki chłopiec, młodzieniec, gdzieś w wieku mojego Krzysztofka, który jeździł na wózku. Widziałam, że i on bierze te kąpiele. Patrzyłam tak na niego i myślałam, że gdyby tak Hubertowi taki pobyt załatwić? Co? Hubercie? – Regina odwróciła się w stronę bratanika. – Na pewno i tobie pomogłyby te wody mineralne. Może by cię tam postawił na nogi? Co? Jak myślicie?

– Dziękuję cioci za pamięć i troskę – Hubert odsunął swój talerz i odłożył sztucę. – I mnie kąpiele pomagały, nawet w zwykłej wodzie.

– No proszę, a nie mówiłam!?

– Ale wyjazd do sanatorium? To nie takie proste.

– Nie? Bo co?!

– Bo tam nie biorą chorych, którzy wymagają dodatkowej, często pielęgnarskiej opieki. Po co im to? Żeby mieć więcej roboty? Przy takim niepełnosprawnym trzeba chodźć, pomagać, mieć specjalny sprzęt, odpowiednich ludzi, głównie do dźwigania, bo chory ze zbyt mocno ograniczoną motoryką nie wejdzie sam do basenu czy choćby tej wanny z minerałami, sam nie wyjdzie... Trzeba nakładów, funduszy. Same kłopoty. Po co to komu? Korzystniej jest zamiast takiego jak ja, pewnie nawet za mniejsze pieniądze, wziąć sobie ze dwóch, trzech gości z dyskopatią albo ze zwiniętym kolanem. Paru chodzących, samodzielnych, i cześć! Większa wydajność i efekt leczniczy większy, bo dyskopacie wystarczy nie raz kilka prostych ćwiczeń, żeby poczuł się lepiej, a i w statystykach czy finansach lepiej to wygląda. Dla takich jak ja nie ma u nas sanatoriów. Ba! Nawet i o szpital rehabilitacyjny nie jest łatwo, bo oni też ciężiej doświadczonych unikają jak ognia

z tych samych powodów co sanatoria. Mamy, ciociu, taki paradoks, że im kto bardziej poszkodowany, im więcej ćwiczeń i zabiegów potrzebuje, tym mniej może ich dostać. Tylko sprawniejsi mogą korzystać.

– Dajcie spokój! To co to jest za opieka?! Co to za państwo?! Co za medycyna?!

– Jak odzyskam trochę sprawności, to może uda się wyjechać do jakiegoś uzdrowiska. Może przyjmą mnie z osobą towarzyszącą, z własną opieką. No i konieczne są też odpowiednie fundusze.

– Jakie fundusze znowu?

– Pieniądze, ciociu, żeby opłacić turnus.

– To ty najpierw musisz wyzdrowieć, żeby rozpocząć leczenie, i jeszcze bulić? A jak kto nie ma kasy, to co?

– Wtedy musi mieć dość siły, by żebrać.

ROZDZIAŁ 40

Hubert spojrzał w niebo. Nieskazitelną błękit przekreślała biała kreska pozostawiona przez samolot. „Ślad anioła” – przypomniał sobie. Tak mówił kiedyś dziadek, a on z dziecięcą prostotą święcie w to wierzył. Wierzyli niemal wszystkie dzieci, bo starzy ludzie chcieli, żeby to była prawda. Tak było piękniej. Tylko jeden ojciec z niedowierzaniem kiwał głową i uśmiechał się pobłaźliwie. Przymrużył oczy. Słońce oświeślało południową stronę domu i cały ogród. W bezwietrzu drzewa znieruchomiały, zastygły w wezbranym słodyczą zapachu dojrzewających owoców i mocno znużone bardziej pochyliły się nad ziemią. Nad płaskim daszkiem garażu unosiła się drgająca śróżoga.

Siedzieli na tarasie. W połowie osłonięci pergolą z winną latoroślą, w drugiej połowie wystawieni na działanie promieni słonecznych, ponakrywali głowy chustami i słomkowymi kapeluszami. Każdy inaczej, po swojemu, jak komu fantazja podpowiedziała. Wiklinowe fotele, trzeszczące przy każdym ruchu jak wysuszone harfy z wierzbowymi strunami, ustawione były w nieregularny krąg dookoła stołu,

który nakryty lnianą serwetą zastawiony był talerzykami, koszykami z pokrojonym pieczywem, dzbankami z wodą i sokiem oraz porcelanowymi filiżankami. Między nimi, w pozornym bezładzie, leżały noże i łyżeczki. Na środku, najistotniejszy w to popołudnie, stał stół z miodem.

– Komu jeszcze? – Helena zaczerpnęła drewnianą nabieraczką. Słodką patoka polala się na kromkę świeżego chleba i zaczęła wyciekać dziurkami, których nie zdołało zakleić masło. – Proszę, Kasiu, to dla ciebie. Musisz podstawić sobie talerzyk, bo ci cały miód ucieknie na sukienkę. Może ktoś chce z twarogiem? – Uniosła talerz, żeby przypomnieć, iż jest jeszcze biały ser.

– Miodowa uczta to rozpusta – powiedział Mateusz, który nalał sobie miodu na talerzyk i maczał w nim kawałki pieczywa.

– Mamo, osa! – krzyknęła Kasia, uciekając z jedzeniem od owada.

– To pewnie pszczoła. Przyleciała po swoje – Hubert siedzący najbliżej starał się pomóc siostrze.

– Taka uczta to samo zdrowie. – Regina oblizywała oślodzony palec. – Miód wskazany jest przy chorobach serca i układu krążenia. Właściwie jest dobry na wszystko... wszelkie osłabienia, reumatyzmy, nawet nerwice – sypała jak z rękawa. – A szczególnie ten leśny, bogaty w łatwo przyswajalne żelazo. Idealny dla rekonwalescentów i ludzi osłabionych chorobą. Słyszysz, Hubercie? Pyszny i zdrowy.

– Jednym słowem cud-miód – podsumował Mateusz.

– Nasz wuj Jan... Pamiętasz, Mateuszu, wuja Jana? – Regina upewniła się, że brat wie, o kim mowa, i czy przeciwny rodzinnym historiom, chroń Panie Boże, przypadkiem nie ma ochoty znów zaoponować. Ale on słuchał i wydawał się nawet zainteresowany, więc kontynuowała: – On też miał pasiekę. Pamiętam, jak w jego wiśniowym sadzie stały kolorowe ule. Brzęczenie pszczoł unosiło się między drzewami.

ciąg dalszy na str. 42 i 43

dalszy ciąg ze str. 40 i 41

Kiedy był czas miodobrań, odwirowywał te plastry w takiej specjalnej wirówce. Kręcił przed nami czardziejską korbą, a z kranika wypływał miód. Pewnego razu wuj w pobliżu uli wysypał wiśnie. Właściwie takie powyciskane z soku wytłoki. Pszczoły naturalnie bardzo szybko zainteresowały się nimi. Wuj nie zwracał na to specjalnej uwagi. Potem zupełnie zapomniał. Dopiero jak wybierał miód, to bardzo się zdumiał, bo pszczoły z tych wiśni zrobiły miód w... czerwonym kolorze.

– Naprawdę? – z niedowierzaniem zapytał Hubert.

– Przecież bym nie zmyślała. O Jezu! Coś strzyknęło mi w palcu... – Grymas bólu pojawił się na jej twarzy. – Od tamtej pory wuj specjalnie dawał pszczołom owoce, żeby nas, wszystkie dzieci w rodzinie, tym czerwonym miodem częstować.

– Mamo! Ja też bym chciała czerwonego miodu! – zawołała Kasia. – A z truskawek też jest?

– Dobrze, kochanie. Sprzedamy ten pomysł wujkowi Sylwestrowi. – Helena cały czas odganiała od niej rozchoconą pszczołę.

– Ale najważniejsze jest to, że kiedyś zginął mu jeden rój.

– Uciekł – domyślił się Mateusz. – To się zdarza, żadna rewelacja.

Regina popatrzyła na niego, jakby chciała przypomnieć, jaki był, gdy opowiadała o perłach.

– Nie, ktoś go ukradł – sprostowała.

– Rój?

– Zgadza się.

– I co zrobił? – Helena na chwilę odwróciła się od Kasi. – Chyba już ich nie odzyskał?

– Cóż, zawiadomił odpowiednie organa. Przecież to oczywiste.

– Zawiadomił gliny, że zaginęły mu pszczoły? – Hubert był dzisiaj bardzo sceptyczny. – Co oni mogli tu pomóc?

– Tak właśnie zrobił. – Regina nie rozumiała, co w tym dziwnego.

– Znaleźli mu ten rój? – spytał Mateusz.

– W ciągu tygodnia usta-

lili, że w sąsiedniej wsi jest nowy ul i zawieźli tam wuja.

– To były jego pszczoły?

– No jasne. Jego.

– Skąd wiedział? – Mateusz uważnie spojrzał na siostrę. – Przecież mogły być najzwyczajniej w świecie całkiem legalnie nabyte.

– Poznał.

– Przepraszam cię, Dziniu, ale chyba nie chcesz nam powiedzieć, że rozpoznał pszczoły. To nonsens.

– Rozpoznał królową – odpowiedziała Regina z pewną satysfakcją w głosie.

– Wybacz, ale chyba ci nie uwierzę. Rozpoznał pojedynczą pszczołę?

– Zgadza się! Rozpoznał królową. I co wy na to?

– Dajcie spokój! – zawołała Kasia.

– Tak. Pszczółki udały się Panu Bogu. Co jak co, ale one jak najbardziej... – powiedziała Helena.

– Święte słowa – poparła ją Regina. – Uciekaj! Sio! – odgoniła pszczoły, które w większej liczbie już się o miodzie dowiedziały.

– Gdyby tak wszystko Mu się udało... – Hubert był mniej entuzjastyczny.

– No, może parę rzeczy Mu nie wyszło. – Regina była wyjątkowo zgodna.

– Na przykład rdzeń kręgowy, tkanka nerwowa – wyrecytował. – Nie regenerują się, nie odnawiają.

– No tak... to prawda – rzekła Regina. – Rdzeń chyba faktycznie jest niedopracowany.

– Miałem kiedyś w akwarium małe rybki, które potrafiły zregenerować sobie płetwy, skórę, mózg, a nawet serce! Czy to nie wkurzające, że człowiekowi może odrosnąć najwyżej trzeci migdał? – dodał rozgoryczony.

– Mamo, ktoś puka do drzwi – wtrąciła Kasia. – Mogę otworzyć?

– Tak, kochanie, tylko naj-

Szczygieł(34)

pierw sprawdź, kto to jest – zgodziła się Helena. – Owszem, nie jesteśmy doskonałi i parę rzeczy dałoby się jeszcze poprawić. Być może Bóg już nad tym się zastanawia i kiedyś ludzkie organy również będą się regenerować?

– Kiedyś... kiedyś to już wcale nie będzie mnie obchodzić.

– Wiem, synku... – Helenie załamał się głos. – Ja też bym chciała tego samego co ty... Ale... ale musimy wierzyć...

Jej reakcja oraz błyszczący wzrok zabolowały go bardzo. Natychmiast zrobiło mu się przykro i zaraz też pożałował, że tę letnią beztroskę tak nieopatrznie zmącił i zamienił w żal. Co go opętało, że tak powiedział? Nie chciał tego, a przecież... Głupiec! Że też zawsze musiał być takim cholernym egocentrykiem... jakby nie rozumiał jej bólu, jakby nie wiedział, czym dla matki jest jego cierpienie. Więc czemu, do licha, wciąż o nim przypominał?

Odgryzł kawałek chleba i dręczony wyrzutami sumienia jadł, nie czując smaku. Na szczęście Kasia radośnym głosem przerwała jego wewnętrzny monolog.

– Hubert! Weronika przyszła do ciebie! – zawołała, prowadząc ją za rękę.

– Dzień dobry i smacznego. – Weronika nie spodziewała się takiego zgromadzenia na tarasie.

– Witaj, Weroniko! – rzekła Helena. Teraz mogła zapomnieć o przykrości.

Hubert, mając pełne usta i jeszcze mocno skruszony, tylko pomachał ręką. Miód błyszczącą strużką spływał mu po brodzie. Weronika odpowiedziała mu, figlarnie zginając wskazujący palec.

– Pozwól, Redziu. – Helena stała przy dziewczynie i obejmowała ją w pasie. – To jest koleżanka Huberta.

– Jestem Weronika.

– Miło mi. A ja jestem ciotką Huberta.

– Moją też! – zawołała Kasia.

– Proszę, niech pani siada – Mateusz ustąpił miejsca.

Weronika pokazała na prawie opróżniony stół.

– Małe co nieco? – uśmiechnęła się.

– Zaraz przyniosę ci talerzyk – rzekła Helena. – Po częstujesz się miodem naszej Anetki.

– Pani jest koleżanką Huberta ze szkoły? – zagaiła Regina.

– Ja kończyłam inną szkołę. A poznałam Huberta później. Przyszedł tu kiedyś na ćwiczenia i tak jakoś...

– To pani jest rehabilitantką?

– Przyszłą, bo jeszcze się uczę.

– Muszę pani powiedzieć, że wybrała pani dobry zawód, z przyszłością.

– Ja zawsze mówię, że również piękny – Helena ustawiała przed Weroniką przyniesiony talerzyk i filiżankę.

– I piękny – zgodziła się Regina. – Przywracać ludzi do zdrowia, pomagać w takiej biedzie... To naprawdę wspaniała rzecz. Taka szlachetna i na pewno bardzo satysfakcjonująca.

– Weronika jest prymuską – rzekł Hubert dumny z dziewczyny. – I na pewno będzie znakomitą profesjonalistką. Co ja mówię, Weronika już jest profesjonalistką.

– Bo się zawstydzę. – Weronika zarumieniła się.

– Proszę cię, spróbuj. – Helena przysunęła bliżej stół z miodem.

Dziewczyna wzięła nabieraczkę i zanurzyła ją w złościej słodczy. Zaczepnęła i nalala sobie na talerzyk. Ciekła masa rozpląnęła się leniwie. Zaraz też na brzegu talerzyka wylądowały dwie pszczoły. Dziewczyna odgoniła je i nabrała patoki.

– Mmm – zamruczała z rozkoszą. – Pyszny. Jaki ory-

ginalny smak. – Nabrała kolejną porcję. – Jodła? Malina? Jakies zioła? – delectowała się.

– Ciepło, ciepło – naprowadzała Helena. – Dobrze wyśmakowałaś.

– Czy to jest miód leśny? – udała, że nie wie kim jest ciocia Anetka.

– Zgadza się, leśny.

ROZDZIAŁ 41

Było południe. Z radia rozległ się hejnał. Pomimo włączanego telewizora słychać było nie tylko głos trąbki, ale również wyraźne kroki hejnalisty. Starsza pani przy okrągłym stole układała pasjansa. Kładła karty według sobie znanego klucza na bawelniany obrus, zaczynając obok dwóch szklanek w metalowych koszykach. Karciane prostokąty odcinały się ostro od ciemnego koloru indygo. Przed położeniem każdej następnej kobieta namyślała się jak przed ważną decyzją.

„Jak ona to robi? – myślała Weronika. – Trzy rzeczy jednocześnie”.

W szlafroku i wielkim kwiecistym turbanie z rącznika weszła do pokoju.

– No i udał się – powiedziała starsza pani wyraźnie zadowolona. Przed nią leżały karty starannie ułożone w symetryczny wzór.

– To znaczy, że coś się powiedzie. – Weronikę ucieszyła radość babci.

Wzięła ze stołu szklankę w obie ręce, objęła ją palcami, jakby chciała je ogrzać ciepłem herbaty, i zaczęła drobny tykami popijać. Starsza pani również sięgnęła po swoją szklankę, lecz zamiast pić, zaczęła bacznie przyglądać się wnuczce.

– I co tam? Powiedz. Co nowego u ciebie? – zapytała niespodziewanie. – Znikasz mi często, uśmiechasz się tajemniczo do swoich myśli. Pewnie z powodu jakiegoś mężczyzny, co? Przyznaj się... – Mrugnęła porozumiewawczo.

Weronika spieszyła się na chwilę i oblała rumieńcem. Tę przypadłość, bo czerwienienie się w tym wieku uznawała za przypadłość, podobno odziedziczyła po mamie. Babcia nieraz opowiadała, jaką ojciec Weroniki miał

zabawę, wywołując u żony intensywne pąsy, najlepiej jakąś pikantną zaczepką i to w większym towarzystwie. Rumieniec podobno był objawem wrodzonej niewinności, ale Weroniki wcale to nie pocieszało. Śmieiej spoglądała na babcię, wstydząc się swojej reakcji. W końcu nie miała powodu przed nią niczego skrywać.

– To żadna tajemnica, babciu. Tak po prostu...

– Po prostu... też mi odpowiedź – zachnęła się kobieta. – Nie jesteś zbyt wylewna.

– Bo o czym tu mówić?

– Czerwienisz się jak młoda jarzębina, więc nie mam wątpliwości, że jest... No, zaspokój ciekawość swojej babuszki.

– Cóż... – Weronika już nie próbowała robić uników. – Poznałam pewnego chłopca. Do niego chodzę – dopowiedziała, trzymając szklankę blisko ust.

Starsza pani spojrzała na nią mocno zdumionym wzrokiem.

– To ty do mężczyzny do domu chodzisz? – rzekła ze zgrozą w głosie. – Tak po prostu?

– A co w tym dziwnego, babciu?

Kobieta pokiwała głową.

– Jak to się obyczajnie pozmieniały. – Odstawiła swoją herbatę i zaczęła zbierać karty. – Kiedyś to kawaler chadzał do panny. Do niej, do jej domu. Nigdy odwrotnie, bo źle świadczyłoby to o dziewczynie i mogło dowodzić, że panna się nie szanuje. Albo zapraszał do kawiarni lub kina.

– Właśnie. Byliśmy w kinie.

– Doprawdy?

– Teraz, babciu, też jeszcze tak jest. Są rodziny, w których hołduje się tradycji. Również w tym względzie... zwłaszcza tym... W domu, do którego chodzę, również. To rodzina z zasadami.

– To on nie mieszka sam?

– Z rodzicami.

– Choć to dobre.

– I z młodszą siostrą.

– I co? Nie dziwią ci się? Nie patrzą krzywym okiem, kiedy tak przychodzisz?

– Nie, ponieważ przycho-

dzę trochę też i do nich.

– Tak bardziej oficjalnie? – Starsza pani spojrzała jeszcze bardziej przenikliwie.

– Widzisz, babciu... sytuacja jest tego rodzaju, że nie patrzą na mnie krzywo. Wręcz przeciwnie. Z sympatią i radością.

– Co to znaczy „sytuacja tego rodzaju”? – zdziwiła się. – Ja nic nie mogę z twoich słów wynioskować. Mówiż po ludzku!

– No taka... – Weronika pogubiła się speszona – że ja tam głównie chodzę na ćwiczenia jako rehabilitantka.

– To znaczy zawodowo? – upewniła się starsza pani, dziwiąc się w duchu sobie i tej swojej nagłej docieklowości.

– Głównie tak.

– Hm, rozumiem... – Zamyśliła się na chwilę. – Lezczysz go w domu? Hmm?

– A właściwie nie! – rzuciła Weronika. – Nie głównie. Bo widzisz, bardzo go polubiłam i on mnie chyba też. – Znów oblała się pąsem.

– Więc jednak? – zaśmiała się starsza pani. – Wiedziałam, wiedziałam... Już ty mnie, okruszku, nie zwieździsz. To zaprosz go kiedy na obiad. Rosół ugotujemy, upiecz się jakieś ciasto. Mężczyźni lubią słodczyce, oj lubią! Porozmawiamy trochę. A nie tak ciągle u niego, jakbyś własnego domu nie miała – mówiła coraz bardziej podekscytowana. – W końcu i ja go poznam.

– Chętnie bym go zaprosiła, babciu, tylko widzisz... on nie może przyjść.

– A to czemu? Ma jakieś, nie daj Boże, zobowiązania?

– Nie, babciu, to żaden żonaty facet. Mówiłam ci... – Weronika starała się uspokoić babcię i jakoś uporządkować tę bez powodu dziwną i chaotyczną rozmowę. – To nie to...

– Więc o co chodzi? Nie rozumiem.

– Już ci mówię. On jeździ na wózku. Kiedyś skoczył do wody na głowę i złamał kręgosłup. Jest częściowo sparaliżowany, bez windy nie dostanie się tu do nas.

– Na wózku... kaleka... – Staruszka mocniej zacisnęła palce na talii kart.

– Tak mówią. „Niepełnosprawny” brzmi lepiej i jest bardziej adekwatnym określeniem – poprawiła Weronika.

– Na wózku inwalidzkim... – cicho powtórzyła kobieta. – Mój Boże! Dziecko, ja wiem, że ty masz dobre serce, ale czy ty zastanowiłaś się, co robisz? Z inwalidą? Czy to ma jakąś przyszłość?

– Aż tak bardzo nie wybiegam w przód. Teraz jest dobrze. On ćwiczy i stopniowo wyciąga się z tej biedy.

– Z biedy... Mówisz tak, jakby rzeczywiście o zwykłą biedę chodziło. A przecież tu idzie o twoje życie. Czy ty nie możesz poszukać sobie, przepraszam cię, kogoś normalnego?

– To mądry, rozumny chłopak i świetnie się przy nim czuję. Spodobałby ci się. Wiem to na pewno. Inaczej nie chodziłabym do niego. On jest całkiem normalny.

– A czy to już nie ma mądrych, rozumnych chłopaków, przy których świetnie byś się czuła, a którzy nie jeździliby na wózku inwalidzkim? Mało to takich?

– Czy to aż tak ważne? Ten wózek?

cdn.



Książka wydana nakładem
Wydawnictwa BIS
ul. Łędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. (22) 877-27-05, 877-40-33
fax (22) 837-10-84

FILANTROP NASZYCH CZASÓW

Miesięcznik

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Marcin Bajerowicz – redaktor naczelny,
Karolina Kasprzak – zastępca redaktora
naczelnego, Krystian Cholewa,
Agata Krystosik-Gromadzińska,
Marcin Kaczyński, Marek Kalbarczyk,
Zbigniew Nowak, Andrzej Rossa,
Agata Sierota, Jerzy Szulc.

ADRES REDAKCJI:

60-681 Poznań
os. Bolesława Chrobrego 33 m 65
tel. 822-64-54, kom. 608-311-903
e-mail: mbajerowicz@wp.pl
www.filantrop.org.pl

WYDAWCA:

Fundacja Pomocy Osobom
Niepełnosprawnym „Filantrop”
os. Bolesława Chrobrego 33 m 65
60-681 Poznań
tel. 608-311-903, 61-8226-454,
www.filantrop.org.pl

KONTO:

BZ WBK SA VI/O Poznań
28-1090-1362-0000-0001-0665-8259

DRUK:

DRUKARNIA „KOM-DRUK”
Grzegorz Komisarek
ul. Karpińskiej 16, 60-462 Poznań
tel. 618 172 206
e-mail: komdruk@wp.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo
skrótów i zmian w nadsyłanych
materiałach oraz nie bierze
odpowiedzialności za ich autorstwo.

Za treść reklam i ogłoszeń
redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Nakład: 2.000 egzemplarzy.



Jerzy
Szulc
WARSZAWA

EDUKACJA

Przed egzaminami
Nie łam się kochany,
Studia już kończyły
Nie takie tumany.

POCZWÓRNY

By zapomnieć o tym.
Że się z nią pokłócił,
Poszedł na jednego...
A na czterech wrócił.

WYRZECZENIA

Gdy rzucisz palenie
Oraz trunków picie,
Będiesz mógł żyć dłużej.
Ale co to za życie.

BAJECZKA

Raz kotek był chory,
Leżał na kanapie.
I przyszedł pan doktor.
Teraz on się drapie.

SZARUGA

Pogoda pod psem,
Nudy na pudy,
Leje jak z cebra
Pies koło budy.

OSTROŚĆ

Najwyraźniej
Widzi człowiek
To, co sen mu
Spędza z powiek.

NA DOBRANOC

Będzie znów bzykanie...
Bo komar na ścianie.

Fraszki

CHODY

Gdy nie wierzysz lewej
Ani prawej nodze,
To możesz się potknąć
I na równej drodze.

ZAANGAŻOWANIE

Garną się zewsząd
Ręce usługne
Do przelewania
Z pustego w próżne.

JĘZYKOWY WIRUS

Polacy nie gęsi,
Też swój język mają.
Ale go angielskim
Bełkotem kalają.

RĘKODZIEŁO

Od ręki masz,
Gdy w łapę dasz.

OTCHŁAŃ

Czasem i myśl mądra
Tak głęboka bywa,
Że z głowy jedynie
Głupota wypływa.

IDEA

Czasem treść głęboka
Bywa tak przejrzysta,
Że do dna prowadzi
Nas utopia czysta.

WSPÓŁDZIAŁANIE

Nie licz na rzekomy
Wspólnoty wysiłek,
Gdy każdy się martwi
Tylko o swój tyłek.

SPADKOBIERCY

Pogrążeni w żalu
Cieszą się ze szmalu.

CUD GOSPODARCZY

Orłów z nóg ścina
Alkohol drogi,
A budżet państwa
Stawia na nogi.

POZYCJA

Czasem jest się w tyle
Głównie z tego względu,
Że się za dużego
Nabrało rozpędu.

WYLEWNOŚĆ

Bywa, że i z tajnych
Źródeł brud wycieka
I z tego się potem
Robi temat rzeka.

UPODOBANIA

Ten lubi to i tamto,
Tamten to i owo.
Każdy z nas ma jakieś
Własne wariatkowo.

SLALOM

Jedno bydlę pijane
Za kierownicą
Prowadzi zygzakiem
Sto koni ulicą.

BODZIEC

Wystarczy łyczek
Mocnego płynu
i słabość ludzka
Rwie się do czynu.



Randka w XX wieku



Randka w XXI wieku



Randka od 2020 roku

AR

RYŚ. ANDRZEJ ROSSA

Gryzoty wuja Teocha

To wszystko bez kowida. Kliknęła do Teocha Sabrina krewnioczka zez Wygnajewa, któro robi w DPS-ie. Kcom jom wyćpić zes roboty. Bez co? A no bez czipa zez szczepiynia. Czipy każom ludziskom godać to co myślom, a tak być nie może. Tyle lot godałam jedno, a myślelim drugie i było gut.

No, ale co się stanyło. Sabrina już po szczepiyniu miała zajynicie kurtularne na korytarzu zes syniorami. Jedyn wspominoł, inkszy deklamowoł, a jedyn czytoł bajke o Czerwonym Kapurku.

Wew złom godzinie przeszła przez korytorz przełożono, tako trojchenderka (zarządzająca). Istno jessta blondynom zez warkoczem jak zez reklamy wew Cepelii. Wew momyncie poczuła mus (bez czipa) i zaczęła śpiywać znanom piosynke:

Jo jezdym Kaśka

Niby zez obrazka.

Kto mie zoboczy,

To zaroz głaska.

O słodko godzino! O jasne zez modrym! Co za poruta! Kóniec klamerki! Trojchenderka się cofła. Wezwała Sabine i kosała jej zabierać sie precz. No to trzeba było jachać na ratunek. Tylko Ryniu mógł coś zrobić.

Pojachalim do Wygnajewa. Ryniu kupiyl siedem gwoździ-ków i poszed do trojchenderki. Ryniu mo gadane. Rzykomo jak roz przemawioł przed pod pomnikiy Chrobrygò kole katedry, królowi kapły dwie łyzy, a nawet Chrobry wzdochnył. Było to w jakisiś wiec rocznicowy. Jak se pogodali zez przełożonom, to ona się przyznała, że do derehtora DPS-u powiedziała: ty stary śruple. Ryniu obiycoł, że Sabine wyleczy, a trojchenderka cofła wypowiedzynie. No i co wy na to?

Pojachalim do mundryj kole Gniezna. Istno miyszko wew bliźnioku. Wew drugiij czynści mo swojom czynść jej siora pielyngnarka. Zajachalim na umówionom godzinie, to zna czy jo, Ryniu, Teoch i Sabrina. Na podwyrzu stały trzy bryki. Ale rug-cug weszlim do środyszka. Mundro Alda miało takom nabitom, dubiastom figure. Ale była miła! Kosała Sabine siodać i palcyma robiyla coś kole jej gora, jakby grała na forteklapie. Zaś wsadziyla pazury do wazki zez wodom, wiukła, a potem zaś strzepla wode zez renców. Mrukła krótko:

– Zoboijntnionie!

To spytalim:

– Co jezdymy krewni?

– Wizyta jest frei – odparła Alda. – Co ino tylko składka za prund i sprzuntanie wynosi sto złotych.

Spytalim jeszczyk:

– Co zes zakrzeplinami po zaszczepiyniu?

Alda powiedziała, że wew lewizorze godajom, jakie preparaty aspiryny trzeba no to brać.

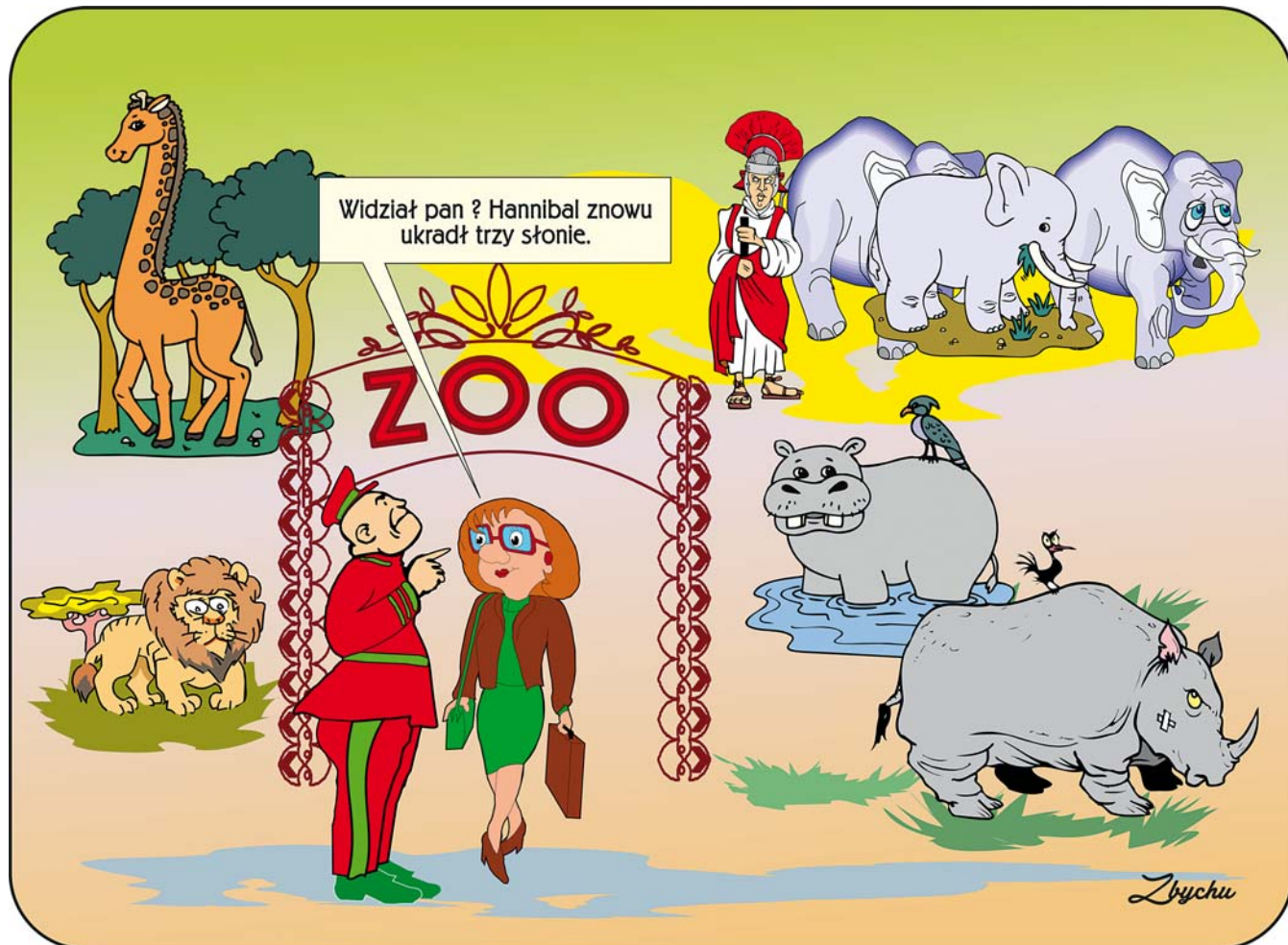
I tak za stówe pozbylim sie problemu.

A co by mogło jeszczyk by?

Strzeszoczka, ta emenrytka PKP, po szczepiyniu chciała iść do akwarium wew Wygnajewie i wyzwać likorzy rodzinnych, że sie zamkli i nie leczom, a godajom ino bez telefon, na który nie idzie sie dodzwonić! A istni nie som winowaci, bo urzyndasy takie jeim nadali przepisy czyli procedury.

A zresztą tak w życiu jak i w polityce lepiej co inkszegò myśleć, a co inkszygò godać! Tero bydom wew składach zielarskich mieszanki Kontraczipex. Dwa razy dnia zaparzejta herbatki.

BOLECH ZES CIERPIENGÓW



Wiersze Aldony Wiśniewskiej

Zginęły wiersze bezgłośnie
Pisane w szczęściu,
Opłakiwane z żalem.
Myślałam, że są bezpieczne,
A one przepadły.
Może złośliwy ktoś,
Może gość nieproszony...
Ale dlaczego moje wiersze!
Pełni ich nie odtworzę.
Żadnego nie znam na pamięć.
Pustka mi po nich została.

Nie wiem kim jesteś,
Patrzę na ciebie z okna.
Mijasz mój dom, nie patrzysz.
Kobieto, mężczyzno.
Dzieli nas pięć pięter przestrzeni.
Choć bym nawet biegła,
Już ciebie nie spotkam.
Może kolejnym razem,
Lecz czy zapamiętam twarz?

Kwiatem na pustyni – ty.
Gestem w obronie,
Splatające się dłonie – to ty.
Ciepłym mlekiem pocałunku,
Trawą westchnień,
Mieczem klątwy,
Dniem bez wytchnienia – ty.
Ogniem dziwnym, który nie parzy – ty.

Błękitne jak woda,
A gorące jak rozgrzany kamień
Moje niebo, promienne całe,
Pełne westchnień kamienne niebo.
Potu wycieczkę, od stóp do głowy niesie żar.
Macham wachlarzem,
Wiatr umarł w pół gestu.
Upał miłością nas darzy.

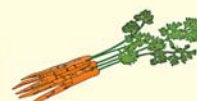
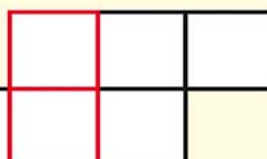
Nie ma wilgoci wśród traw.
Nie ma koloru w kwiatach.
Zdjęło suknię lato i opala się nagie.
Spaliło się na brzozi liści,
Na języku odczuwa suchość studni.
Kiedy jesień się ziści,
Pójdziemy w nią wtuleni i potulni.

Polubiłam mowę lasu,
Który wzywał mnie co dnia
Pod swoje skrzydła przepastne
Zielenią i mrokiem.
Polubiłam zgiełk miasta,
Bełkot ulic, niewyraźny, głośny.
Tutaj zawsze się coś dzieje,
W kąpielni dźwięków bezbrzeżnej.
Ruszę na podbój świata,
W dłoni trzymam bezmiar.

Na hamaku pośród lata rozpiętym,
Czytam książkę o dalekich podróżach.
Zapiął się guzik czasu
I już wieczór zakłęty
Przypętał do mych palców
Bezkształtny, bury.
Szerokim śmigłem już wiatr nie kręci.
Cisza, tylko słowik nieśmiało śpiewa
O dalekich, majowych podróżach.

Kim dla mnie jesteś?
Niczym twoje dłonie,
Co krążą nade mną,
Dbając by mi niczego nie zabrakło,
Błade słońce głaszcze mój kark.
Nikt, nawet ty nie wiesz ile światła
Jest w twoich ramionach.
Przyjdę do ciebie rano,
A ty rozbłyśniesz
I znów mnie przytulisz na dobroć,
Na złość wczorajszą, która pierzcha
Przed promieniami
Wszechogarniającego
Ultrafioletu.

KRZYŻÓWKA POD JAMNIKIEM



Wpisz w kratki nazwy z obrazków i odgadnij hasło, którym jest coś co rośnie w parku.

AUTOR ZBIGNIEW NOWAK

Światowy Dzień Kostki Rubika



Zrychu

RYŚ: ZBIGNIEW NOWAK

DRUKARNIA



KOM - DRUK

DRUK DO FORMATU B2

ULOTKI i PLAKATY

WIZYTÓWKI

KSIĄŻKI

FOLDERY

KALENDARZE

SZTANCOWANIE

PROJEKTOWANIE GRAFICZNE

DRUK OFFSETOWY I CYFROWY

ul. Karpińskiej 16, 60-462 Poznań

tel. 618 172 206

www.komdruk.pl | mail: komdruk@wp.pl

NEUROLOGICZNY NIEPUBLICZNY ZAKŁAD OPIEKI ZDROWOTNEJ CENTRUM LECZENIA STWARDNIENIA ROZSIANEGO OŚRODEK BADAŃ KLINICZNYCH

im. dr n. med. Hanki Hertmanowskiej



Jeśli chorujesz na **STWARDNIENIE ROZSIANE (SM)**

i masz problemy ze spastycznością
(sztywnością) kończyn,
a dotychczasowe metody leczenia
nie przynoszą zadowalających efektów

MOŻEMY TOBIE POMÓC

proponując skuteczne leczenie



Zapraszamy:

62-064 Plewiska, ul. Fabianowska 40

Rejestracja telefoniczna
w godz. 10.00-16.00 od poniedziałku do piątku

61-863-00-68 lub 506-444-900

www.hertmanowska.pl
neurologiczny.nzoz@gmail.com